

# WSPOMNIENIA

Ksawery Jarozuk  
Ul. Kolejowa 59  
08-300 Kosów Lacki  
Woj. Siedleckie

Kwiecień – maj 1978 rok



Ksawery Jaroszek, rok 1956

## Pamiętnik

Urodziłem się w pounickiej wsi Ogrodniki, woj. Siedleckie w 1903 roku, w rodzinie małorolnego chłopca, ojciec Tomasz, matka Marianna z Hołubców.

W tym czasie władze carskie prześladowały unitów za wiarę, mojego dziadka Daniela zesłano na 4 lata na Sybir za nieprzyjęcie prawosławia i tam zmarł.

Księdza Unickiego też zesłano na Sybir, a na jego miejsce na parafii w Czołomyjach osadzono prawosławnego popa. Kościół zamieniono na cerkiew prawosławną.

Carat siłą chciał zmusić Unitów do przejścia na prawosławie. Używał do tego wojska, które w zimę wypędzało Unitów bosą na śnieg chcąc ich w ten sposób zmusić do przejścia na prawosławie, lecz Ci wszystko znieśli i na prawosławie nie przeszli. W skryciu omijali cerkiew w Czołomyjach i szli do kościoła Rzymsko-Katolickiego w Mordach. Kościół w Mordach był obstawiony strażnikami carskimi, którzy wyłapywali Unitów i zamykali na kilka dni do aresztu. Nie wolno było Unitom chrzczyć dzieci w kościele rzymsko-katolickim, zawierać ślubów małżeńskich, ani odprawiać nabożeństw pogrzebowych. Unicy organizowali chrzest dzieci w lasach, do których docierali księża rzymsko-katolicy i udzielali w skrytości chrztu, ślubów i odprawiali nabożeństwa, dlatego też i ja byłem ochrzczony w lesie.

Księża bardzo się narażali, bo gdyby dowiedziały się władze carskie, skazałyby ich na wieczną Syberię. Ojciec mój i drugi mieszkaniec naszej wsi Piotr Chodowicz byli organizatorami i łącznikami pomiędzy ludnością a duchowieństwem. Powyżej opisane dzieje znane z opowiadania rodziców i okolicznej ludności.

Teraz postaram się opisać w streszczeniu jak sięgnie moja pamięć od najmłodszych lat, moje przeżycia. Ile lat wtedy miałem nie wiem, ale na pewno nie więcej jak 4. Przymierzałem swój wzrost do kuchni, ale kuchnia była wciąż

wyższa ode mnie.

Ojciec mój był sołtysem, często przychodzili do ojca strażnicy/policjanci/carscy w różnych sprawach. Jeden z nich nazwiskiem Kierył straszył mnie, że zabierze do kozy/aresztu/i ja od niego odsuwając oparłem się, plecami o drzwiczki rozpalonej kuchni, od czego zapaliło się na mnie ubranie. Szczęściem matka była przy kuchni, zerwała ze mnie wierzchnie odzienie i ja się nie poparzyłem, tylko się wystraszyłem, również wystraszył się strażnik i od tej pory więcej mnie nie straszył.

Mieszkaliśmy w starej chacie o dwóch małych okienkach, w jednej izbie, zamiast podłogi – klepisko ubite z gliny, nie równo. Było nas wtedy sześcioro osób, to jest rodzice i czworo dzieci, ja byłem już siódmym, najstarszym, troje umarło w pierwszych miesiącach życia. Potem było troje starszych ode mnie żyjących. Za meble służyło jedno łóżko, stół i trzy stołki. Spaliśmy na siennikach rozłożonych na klepisku, zamiast poduszek worki napchane słomą, za okrycie służył kozuch i watowane odzienie używane na co dzień, na nogi kapcie uszyte ze strych szmat. Nieraz zimową porą jak wybiegało się na dwór i pogubiło kapcie to poślizgiwało się i na bosaka.

Przez naszą izbę przechodziła rodzina stryja Konstantego składająca się ze czterech osób, zajmowała przyległą izdebkę zwaną alkierzem. Z sieni wchodziło się do trzeciej małej izdebki zajmowanej przez drugiego stryja Łukasza, jego rodzina też była pięcioosobowa, tak, że w takiej norze gnieździły się trzy rodziny, ogółem piętnaście osób. Pomimo to między nimi nie było kłótni, jakoś wszyscy żyli w zgodzie. W dwa lata potem ojciec postawił nową chatę, w której były dwa pokoje i kuchnia, wtedy poczuliśmy się swobodniej. Wkrótce w nowym mieszkaniu urodził się młodszy brat Wacław, chrzczony jest w kościele w Mordach, bo car Aleksander II po wojnie japońskiej wydał dekret o tolerancji religijnej. Brat ten w drugim roku życia zachorował i umarł. Lekarzy w dawnych czasach prawie nie znano, jak ktoś wytrzymał chorobę to dobrze, a jak nie to musiał umierać. Piszę prawdę, bo lekarzy nie było tak jak

teraz. W Mordach, był na całą okolicę jeden felczer, za porady brał drogo, ludzie nie leczyli się, ale mnie to on dużo pomógł. Raz jak miałem sześć lat i zachorowałem na tyfus, a drugi raz w dwa lata potem jak skaleczyłem nogę siekierą i dostałem zakażenia. W obu wypadkach na pewno bym nie żył, gdyby nie jego pomoc.

Rodzice małe dzieci pędzili do roboty, jak miałem dziewięć lat pasłem krowy i konie. Nie raz na noc ojciec wsadzał mnie na konia i wysyłał na paśnik w towarzystwie sąsiada Onufrego, który po przyjeździe na paśnik zdejmował mnie z konia i mego konia pętał. Zjeżdżało nas się na paśnik zawsze kilkunastu chłopców i kilku starszych mężczyzn, starsi rozpalali ognisko i układali się przy ognisku. Z początku rozmawiali, poczem usypiali się, a my najmłodszy zbieraliśmy chrust na ogień i zawracaliśmy konie od szkody. Rano jak słońce wzeszło starsi budzili się, zabierali konie i wszyscy wracaliśmy do domu.

Ludzie na wsi ciężko pracowali, sierpem zbierali zboże z pól, motykami kopali ziemniaki. Najwięcej pracy miały kobiety, dużo siały lnu, z którego uzyskiwały włókno. Przez całą zimę przędły i wyrabiały płótno na koszule i ubrania dla całej rodziny. Nasza rodzina była duża, po mnie było jeszcze troje najmłodszych dzieci, tak, że razem było nas siedmioro dzieci, oraz dwoje rodziców, razem było nas dziewięć osób.

Żeby nas jako tako przykryć i wyżywić matka siedziała nie raz całymi nocami przy kądzieli, lub krosnach, w ciągłym biegu, pomimo to nie narzekała na swój los. W każdą niedzielę i święta zabierała nas i szła do kościoła w Mordach odległego o pięć kilometrów, często ojciec zaprzęgał konia i rodzinka jechała do kościoła, ale były wypadki, że ojciec sprzedał konia, albo gdzieś wyjechał, wtedy szliśmy pieszo.

Zawsze ktoś zostawał w domu, razu pewnego pozostałem ja z młodszą siostrą Janiną, miałem wtedy około 10 lat.

Chcąc przypochlebić się matce, postanowiłem na obiad nagotować pyzów. Naobierałem, więc kartofli, natarłem i narobiłem pyzów. Ogień w kuchni

rozpaliłem, wstawiłem wodę, ale nie wiedziałem, na jaką wodę pyzy się wrzuca, więc wrzuciłem na wodę zimną, dlatego w garnku wszystko mi się skawaliło, ale jakoś to się ugotowało, często musiałem tylko mieszać żeby się nie przypaliło. Cały potem kawał wydobyłem do miski, łyżką porozdzielałem, rozłożyłem na stolnicy, to obeschło, stało się zjadliwe. Jak rodzice powrócili z braćmi z kościoła, matka odsmażyła pyzy na patelni, wszyscy z apetytem jedli i mówili, że dobre, matka była uśmiechnięta i zadowolona, a ja poczułem się bardzo szczęśliwy.

Ludzie w tamtych czasach mięsem się nie przejadali, mięso było tylko w główne święta jak Wielkanoc i Boże Narodzenie. Przed tymi świętami zabijali świnie, tłuszcz i szynki na okres żniw pozostawiali. Głównym pożywieniem było mleko i nabiał, chleb razowy domowego wypieku i ziemniaki, a także kasze, może i przez to ludzie byli zdrowsi.

W dziesiątym roku życia zacząłem chodzić do szkoły ruskiej, bo nam dzieciom z rodzin pounickich nie wolno było uczyć się po polsku. Szkoła była we wsi Czołomyje o 1 kilometr drogi od Ogrodnik, uczyła ruska nauczycielka Julia Major.

Klas było cztery -wstępna klasa, potem pierwsza, druga i trzecia. Każdego dnia były wszystkie przedmioty, takie jak język rosyjski, geografia, historia i matematyka oraz rysunki. Wszystkie przedmioty obowiązywały od klasy drugiej, w wstępnej było przepisywanie gryfem na tabliczkach kamiennych liter i cyfr, w pierwszej dochodziła już matematyka, ja w pierwszym roku przeszedłem dwie klasy, wstępną i pierwszą. Do szkoły szło się w listopadzie jak bydło stało w oborach, latem musiałem paść krowy, na wiosnę kończyło się szkołę jak bydło zaczęli wyganiać na paśnik. Podręczniki do nauki wydawała nam szkoła.

Przychodził do szkoły pop uczyć nas ruskiej historii świętej zwanej „Bożym Mirem”. Było to już w 1913 roku, wtedy byłem w drugiej klasie, na początku roku szkolnego miało miejsce następujące zdarzenie. Pop po wejściu

do klasy usiadł przy stole na krześle i wezwał mojego kolegę Franciszka Prokopiaka do siebie by zdał lekcję z „Bożego Mira”. My wszyscy nie chcieliśmy się uczyć tego, również nie umiał i Prokopiak, ale musiał podejść do popa i rozłożyć „Boży Mir”. Ponieważ się nie nauczył, zaczął się jąkać i słabizowć, pop się zdenerwował, wyrwał mu z rąk podręcznik „Bożego Mira” i zaczął nim okładać po głowie (Prokopiaka), na to nastąpił wśród nas nie spodziewany odruch, wszyscy ruszyliśmy do popa i porzucaliśmy mu na stół i pod nogi podręczniki „Bożego Mira”, poczem spokojnie usiedli na swoje miejsca w ławki. Na to pop poderwał się, zaczął biegać po szkole i wydzierać się na nas. Ze złości szczęki i broda mu skakała, krzyczał, że nam na pewno rodzice nie każą się uczyć „Bożego Mira”, a im każe na pewno tak ksiądz rzymsko-katolicki. Za to, że słuchają księdza to są nasze ojce – głupiemi baranami, a matki baraniachami, nadarł się aż mu piany stały na ustach, musiał wreszcie wyjść i nam nic nie zrobił.

W drugim tygodniu przybył do naszej szkoły inspektor szkolny z powiatu, po rosyjsku nazywany naczelnikiem „ujezda”. Wraz z nim przyszedł i pop, uskarżał się do niego na nas, przedstawił mu jak porzucaliśmy mu podręczniki. Naczelnik wysłuchał go, nic na to przy nas nie mówił, ale pop już więcej do szkoły nie przychodził.

Nas w domu rodzice uczyli po polsku na elementarzach i książeczkach katechizmu. Po upływie dwóch miesięcy od zajęcia z popem, jeden z uczniów idąc do szkoły zabrał z podręcznikami rosyjskimi elementarz polski. Przypadek chciał, że do niego podeszła nauczycielka i kazała mu zdać lekcje języka rosyjskiego. Ten wyjmując podręcznik z torby wyjął i elementarz polski, nauczycielka zauważyła, porwała elementarz, uderzyła nim po głowie tego ucznia i zaraz wrzuciła do pieca i spaliła.

Na drugi dzień Stasiak Czarnocki jeden z najstarszych uczniów, podszedł do mnie i zaproponował bym chwilę został jak cała szkoła wybiegnie na ostatnią pauzę, na co się zgodziłem. Kiedy wszyscy wychodzili na pauzę, my

obaj niby najpóźniej zagrzebani w książkach, pozostaliśmy. Wtedy on kazał mi przytrzymać klamkę drzwi, sam skoczył na ławkę i nożem pociął portrety cara, carycy i księcia Aleksieja, potem jakby nigdy nic wybiegliśmy na dwór i złączyliśmy się z biegającymi dziećmi. Dnia tego nikt na portrety specjalnie uwagi nie zwrócił i nie zauważył, że są pocięte. Dopiero następnego dnia sprzątająca Aleksandra Fiedoruk ścierała kurz i zauważyła, że portrety są pocięte. Zaraz o tym powiedziała nauczycielce, wtedy w nauczycielkę jakby piorun trzasł, biegała po szkole, krzyczała i darła włosy z głowy, poczem poprosiła dzieci, by powiedziały, kto to zrobił, ale nikt jej nie powiedzieć nie mógł. Zawiadomiła o tym carskich strażników, przybyło ich trzech i wypytywali dzieci, czy nie wiedzą, kto to zrobił, nic się nie dowiedzieli, skończyło się na tym, że zdjęto portrety pocięte, a zawieszono drugie, nowe.

W 1914 roku, szóstego sierpnia wybuchła I Wojna Światowa, byłem wówczas w Pruszyńcu, gdzie tego lata pasłem krowy u kuzynów, widziałem rezerwistów odchodzących na wojnę, których żegnał w parafii pruszyńskiej ksiądz Skwara, kilku z tych rezerwistów nie powróciło z wojny. W 1915 roku w sierpniu wojska ruskie opuściły Polskę, a zajęły wojska niemieckie i zaczęła się okupacja niemiecka. Pop i nauczycielka z Czołomyj opuścili Polskę i wyjechali do Rosji.

Do szkoły w Czołomyjach nastał pierwszy nauczyciel polski, rozpoczęła się nauka po polsku. W pierwszym roku zmieniło się trzech nauczycieli, pierwszym był student Małycha, po miesiącu odszedł, nastał Lipka, po dwóch miesiącach też odszedł, jako trzeci nastał, Parkowski i ten dożył do końca roku.

Na chwilę się wróć do czasów szkoły rosyjskiej. W czasie świąt narodowych zwanych „galówkami” nauczycielka prowadziła nas do cerkwi, gdzie przy drzwiach na stoliku poukładane były dla nas paczki ze słodyczami, pomimo tego jedni zawracali i uciekali z pod drzwi cerkwi, inni wpadali brali paczki i z powrotem wybiegali z cerkwi. Potem innym razem zamykali cerkiew



i musieliśmy być na całym nabożeństwie. Byłem tylko przez ten okres dwa razy w cerkwi, weszły mi w pamięć wrota carskie trzy drzwiowe, w których często ukazywał się pop i śpiewał „Hospody Cara Chrani, Silnyi Dzieżawny Car Prawosławny, Hospody Cara Chrani,„ co oznacza po polsku, "Boże strzeż Cara", to powtarzał prawie w kółko. Carem był Mikołaj II Romanów Aleksandrowicz, jego żona Caryca Maria Fiodorówna i syn Książę Aleksiej Mikołajewicz, wszyscy zostali straceni w czasie rewolucji październikowej.

Czas pierwszej okupacji był też, biedny, brak było żywności, ludzie z miast wyjeżdżali na wsie, gdzie łatwiej było o żywność, służba dworska przymierała głodem, dwory nie wydawały zarobionej ordynacji, bo wszystkie zbiory zbóż dworskich zostały popalone przez cofających się Rosjan. W 1916 roku, latem chodziłem do pracy w chmielniku, płace były groszowe, ale przez całe lato zarobiłem na obuwiu i jako takie ubranie. Chmielarzem był Hipolit Arasim, bardzo przekłety i nerwowy człowiek, mieszkał w jednej izbie w czworaku dworskim z żoną i trojgiem dzieci. Widziałem raz jak przyjechał do Chmielnika dziedzic z Mord. Chmielarz przywitał go pocałunkiem w rękę i powiedział mu, że on i jego rodzina nie ma, co jeść, na to dziedzic odpowiedział, że nie ma żadnych środków na zapłacenie za należną mu ordynację, służba dostawała po parę złotych za pracę bieżącą, co wystarczyło na lichą wegetację.

Zimą chodziłem już drugi rok do szkoły polskiej, nauczycielem był Antoni Muszalski, był dobrym nauczycielem. Najlepiej z przedmiotów lubiłem historię Polski i geografę, chociaż z matematyki i innych przedmiotów miałem wyniki dobre. Za niego też szkoła nasza brała udział w pochodzie święta Trzeciego Maja w Mordach po raz pierwszy. W 1917 roku latem pracowałem nadal w Chmielniku, a zimą chodziłem ostatni rok do szkoły w Czołomyjach. Nauczyciel Muszalski wystąpił z Czołomyj, a na jego miejsce przybyła nauczycielka Maria Polakiewicz, przy niej skończyłem szkołę podstawową.

Podczas pierwszej wojny światowej Niemcy z ludnością polską

obchodzili się dobrze, nie słyszałem, żeby ktoś z okolicznej ludności przez nich zginął. Raz widziałem jak żandarm niemiecki z pleców napotkanego Żyda w naszej wsi, zerwał worek, w którym miał trochę mąki, wysypał tę mąkę potem kilka razy pustym workiem uderzył go po głowie, w areście worek mu rzucił i odjechał a Żyd z pustym workiem poszedł do Mórd.

Wtedy zrodziła się jakaś niechęć do Żydów, zaczęto ich przezywać „Bejlisami” i wołać „Żydy do Palestyny”. Był to naród żyjący jak pasożyt na innym ciele, ciężko nie pracujący, zajmujący się przeważnie handlem, a przy tym oszustwem na jakości towaru i cenie, uciekali się do kradzieży i paskarstwa, przy tym byli brudasami, ściśle przestrzegający mi swojej narodowości. Jeżeli Żydówka wyszła za Polaka, lub Żyd ożenił się z Polką, musieli się dłuższy czas ukrywać, bo inni Żydzi gotowi byli za to ich zabić. Między nimi w mniejszym stopniu byli rzemieślnicy tacy jak krawcy, szewcy, kowale, stolarze i murarze oraz kuśnierze. Wśród nich prawie nie spotykało się alkoholików, dlatego dużo bogactwa narodowego było w ich kieszeni.

Na dalszą moją naukę nie stać mnie było, szkoła opłacana była drogo, internatów przy szkole nie było. Po uzyskaniu niepodległości moi dwaj bracia starsi Józef i Władek powołani zostali do Wojska Polskiego, a ja pozostać musiałem przy rodzicach w domu i pomagać im w gospodarstwie. Zbiór zboża z pola już zaczęto kosami, ale żadnych maszyn do młócenia zboża prawie nie było, zaledwie na dziesiątej czy piętnastej wsi była mała maszyna do młócenia zwana „targanką”. Cepami na jesieni trzeba było omłócić zboże do siewu, a potem przez całą zimę wymłacać resztę zboża. Sieczkę na paszę dla inwentarza żywego rznąło się ręcznie, to jest we dwóch, a najwięcej pojedynczo kręcić ladę.

Za okupacji Niemcy pozamykali młyny, nie wolno było przemiałać zboża, więc chłopci na wsi przemiałali ręcznie w żarnach. Żarna musiały być też dobrze ukryte, bo Niemcy jak napotkali zaraz je rekwirowali.

W roku 1919 była wojna polsko-sowiecka, na którą powołano młodych

mężczyzn od osiemnastu lat. W sierpniu 1920 roku Polska Armia wycofała się pod Warszawę. Do nas weszli Sowieci. Ojca mego zajęli z koniem i wozem na podwoły, Żydostwo i nasza szumowina utworzyła władzę sowiecką, rozpoczęły się rekwizycje zboża, ziemniaków, bydła. Do mnie przyszło dwóch uzbrojonych osobników jeden Żyd, a drugi znany mi Polak Rybarczuk i chcieli zabrać nam rocznego źrebaka. Ja i starsza siostra zaczęliśmy krzyczeć i nie dawać. Na to nadszedł sowiecki żołnierz, który zobaczył chodzące nasze gęsi i chciał żeby mu jedną sprzedać, ja złapałem mu jedną i dałem, wówczas on zapytał, czego chcą uzbrojeni cywile. Odpowiedziałem mu, że chcą zabrać mi źrebaka, na to jeden z rabusiów, a był to znany Rybarczuk powiedział do Sowietu, że moi dwaj bracia poszli jako „dobro wolscy” to jest ochotnicy do polskiej armii i walczą przeciwko Sowietom, ojciec też pojechał na podwoły z Wojskiem Polskim. Ja na to odpowiedziałem, że bracia poszli do Wojska Polskiego z poboru, a ojciec pojechał na podwoły z Sowietami, wówczas ten Sowiet kazał pokazać źrebaka, a gdy go zobaczył orzekł, że jest młody nie nadaje się do zaprzęgu i kazał rabusiom uciekać i źrebak mi ocalał.

Przez cały tydzień wojska sowieckie maszerowały przez naszą wieś w kierunku Warszawy, a potem jak zostali. Sowieci pod Warszawą pobici, mała ich ilość cofała się z powrotem, uciekali innymi drogami więcej na północ, bo polskie wojsko przecięło drogi wschodnie. Byłem obecny jak Polacy zaatakowali Mordy. Cały rynek zatłoczony był wojskiem sowieckim, pod budynkiem magistrackim stały gotowe podwoły do dyspozycji komitetu i całej miejscowej władzy. Siedlce nie były jeszcze zajęte przez Polaków, władza cywilna i Sowieci nie spieszyli z ucieczką, przypuszczali, że Polacy wejdą od strony zachodniej do Siedlec, tym czasem polscy ułani z nienacka wpadli od strony wschodniej od Łosic. Był to wspaniały widok jak najpierw wachmistrz i dwóch ułanów, co koń wyskoczy pędziło w morze Sowietów i wołało „broś wiatowku”, co oznacza „rzuć broń”, a za nimi cały szwadron z dowódcą porucznikiem. Sowieci wszyscy broń rzucili, ani jeden strzał nie padł z ich



22 Pułk Piechoty. Warszawa-Siedlce rok 1926. W trzecim  
rzędzie 13 od lewej oznaczony hełm kropką-Ksawery Jaroszek.

strony. Komisarz władzy miejscowej Jarosiewicz ze Stoku Ruskiego wypadł z magistratu i schował się za beczki straży pożarnej, zauważył go porucznik polski, pobiegł za nim i ukrytego za beczką komisarza zastrzelił. Wielka radość była wtedy ludności miejscowej, cywile mężczyźni łapali za porzuconą broń sowiecką i ustanowili straż nad jeńcami sowieckimi, natomiast Żydzi chowali się gdzie który mógł, bo tylko przez tydzień czasu, większa ich część polskiej ludności dobrze dokuczyła. Ten Żyd, co z Rybruczukiem przychodził do mnie po żrebaka zginął. Natomiast Rybarczuk ukrywał się przez kilka miesięcy, potem dla nich wyszła amnestia i on się ujawnił, założył sklep i warsztat masarski, stał się bogatym, nikt go nie prześladował. Ojciec mój porzucił konia z wozem pod granicą pruską i na piechotę powrócił do kraju, ja z pozostałymi żrebakiem zwiozłem resztki zboża z pola, na jesieni zaorałem i już razem z ojcem zasieliśmy zboże ozime.

Po skończonej wojnie pierwszy powrócił na urlop zdrowotny brat Józef, na froncie zachorował na dyzenterie i malarie. Po powrocie z urlopu poszedł znowu do szpitala, bardzo długo chorował, do dobrego zdrowia nigdy nie doszedł, w 53 roku życia – zmarł. W sześć miesięcy po nim przyjechał też na urlop zdrowotny drugi brat Władek, na froncie zachorował na dur brzuszny, ten doszedł do zdrowia, zmarł w 78 roku życia.

W roku 1925, na jesieni powołany zostałem do wojska, do 22 p.p. w Siedlcach, przydzielony do pierwszej kompani strzeleckiej, po miesiącu odkomenderowany do szkolnej kompani podoficerskiej, po kursie otrzymałem stopień kaprała. Szkoła była ciężka z 120 elewów ukończyło nas tylko 34. Zima była sroga, a tu gnali na ćwiczenia, dużo przemarzło, chorowało, zostało zwolnionych do domu lub przydzielonych do lżejszych służb. Powróciłem do kompani pierwszej, objąłem drugą drużynę, ćwiczyłem rekrutów.

Dnia 12 maja 1926 roku, zatrąbili na alarm, wydano nam amunicję ostrą i granaty, załadowaliśmy się do wagonów i wyjechaliśmy do Warszawy. Na stacji w Rembertowie wyładowaliśmy się i wyruszyliśmy piechotą do Warszawy, za

nami jechał siódmy pułk ułanów z Mińska Mazowieckiego. W Warszawie na Grochowie spotkaliśmy maszerujących podchorążaków, którzy zaraz zawrócili i pomaszerowali pośpiesznym krokiem do Warszawy. Na moście Poniatowskiego zastaliśmy duży zator tramwajów i samochodów, chwilę zatrzymaliśmy się i do mostu Kerbedzia przeszliśmy, przy moście stali żołnierze ze 36 p.p. akademickiej. Czołową kompanią była druga kompania, a moja pierwsza była druga, gdy kompania druga schodziła z mostu otrzymała ogień karabinów maszynowych, kilku żołnierzy zostało rannych, nasza kompania zaległa na moście, a gdy strzały chwilowo ucichły, biegiem zeszlismy na lewo na Mariensztat, poczem na Krakowskie Przedmieście i skierowaliśmy się do zamku, tu zastaliśmy tłum cywilów krzyczących „niech żyje, Piłsudski”.

Wówczas zorientowałem się, o co chodzi. Przed tem nikt nam nie mówił, dlaczego jedziemy do Warszawy. Wieczorem moja pierwsza kompania obsadziła Ministerstwo Spraw Zagranicznych przy ul. Wierzbowej. Na drugi dzień rano to jest 13 maja wyszliśmy z Ministerstwa na ulicę Senatorską, poleżeliśmy do południa poczem ruszyliśmy na ulicę Szpitalną. Na Szpitalnej stojących nas gęsiego pod murem ostrzelano, jeden pocisk uderzył w mur o pięćdziesiąt centymetrów od mojej głowy, strzelano do nas z przeciwległej strony z górnych okien, wtedy wystrzeliłem i ja raz w podejrzaną okno, poczem z chorążym Janickim poszliśmy do tych mieszkań, z których padły strzały. Zastaliśmy w jednym mieszkaniu dwóch cywili i jednego majora wojskowego, którego chorąży wylegitymował, zeszlismy z powrotem na ulicę, od tamtej pory do nas już nie strzelano. Całą noc przestaliśmy na Szpitalnej. Warszawskie panie żywiły nas kanapkami, lemoniadą i zaopatrywali w papierosy, od tej pory zacząłem palić papierosy.

Na drugi dzień to jest 14 maja przeszliśmy do Ogrodu Saskiego, tu była kuchnia, mieliśmy otrzymać gorące śniadanie, wtem zarządono alarm. Załadowaliśmy się na samochody i zajechaliśmy na Marszałkowską w pobliżu placu Zbawiciela, tu toczył się bój szkoły podchorążych z piątą kompanią

strzelecka i naszą pierwszą kompanią ciężkich karabinów maszynowych. Został zabity dowódca piątej kompanii kapitan Nadrowski, przy pierwszym karabinie maszynowym leżał zabity Kawalek, sierżant Kosiorek ranny, przy drugim karabinie maszynowym klęczał plutonowy zdenerwowany i wystraszony, nie zdolny do walki. Ja zająłem obok nich stanowisko na bruku, podchorążowie poderwali się do ataku, lecz ogień lekkiego karabinu maszynowego mojej drużyny powstrzymał ich i cofnęli się, my wtedy poderwaliśmy się i wpadliśmy do budynku ich szkoły, a oni się wycofali. W szkole zatrzymaliśmy się do godziny 24, poczem ruszyliśmy Marszałkowską w kierunku Siekierok. Całą akcją dowodził dobry oficer, dowódca pierwszego batalionu kapitan Janowski, z jego rozkazu posuwałem się pierwszy ze swoją drużyną jako ubezpieczenie i gasiłem światło na słupach. Tak posuwając się natknąłem się na czujkę dwóch żołnierzy, wystawionych przez stronę przeciwną, jeden z tych żołnierzy zbiegł, a drugiego doprowadziłem do dowódcy, był to żołnierz z 56 pułku piechoty z poznańskiego wypowiadającego się za Rządem. Zbliżyliśmy się bliżej okopów strony przeciwnej, zajęliśmy stanowiska wtedy dowódca dał rozkaz, że na jego pierwszy gwizdek, wszyscy strzelają, na drugie dwa krótkie gwizdki przerywają ogień i atakują stanowiska strony przeciwnej. Gdy po oddaniu paru strzałów weszliśmy w okopy strony przeciwnej, nikogo już nie było, uciekając porzucili karabin maszynowy, kilka skrzynek amunicji i kilka plecaków, tu poleżeliśmy parę godzin, w między czasie wysłałem sekcję grenadierską pod dowództwem starszego strzelca Zająca do spatrolowania dużego sadu znajdującego się po lewej stronie mojego stanowiska. Traf chciał, że po przeciwnej stronie sadu była trzecia kompania naszego pułku, z której też patrol wyszła do tego sadu, gdy obie patrolki się spotkały, zaczęły do siebie strzelać, wskutek czego został ranny dowódca patrolu trzeciej kompanii, plutonowy. Mieliśmy już nacierać na Wilanów, wtem przyszedł rozkaz zbiórki na szosie. Gdy ustawialiśmy się w dwuszeregu, nadeszło wojsko przeciwnej strony, wzajemnie sprezentowaliśmy sobie broń i wojna domowa się skończyła.



Ksawery Jaroszek, krótko po wstąpieniu do  
Policji, rok 1928



Nasz pułk pozostał w Warszawie do jesieni, zakwaterowano nas w koszarach w Cytadeli. Ochranialiśmy nową Władzę Państwową na Zamku. W dniu przysięgi prezydenta Mościckiego byłem w kompanii honorowej, wtedy widziałem pierwszy raz marszałka, Połsudskiego, któremu nasz dowódca pułku – pułkownik Krok – Paszkowski składał raport. Marszałek miał wtedy około 50 lat, ale wyglądał na dużo starszego, miał włosy, brwi krzaczaste i wąsy siwe, przygarbiony, ubrany w jasny mundur i czapkę maciejówkę – salutował przygiętymi palcami, miałem wrażenie, że nie może nawet do salutowania pleców rozprostować, ale wzrok miał spokojny i przenikliwy. Potem jeszcze widziałem go kilka razy jak przychodził do kancelarii Prezydenta Mościckiego, bo ja, co drugi dzień byłem na zamku w plutonie honorowym, lub trzymałem wartę podoficerską przy drzwiach wejściowych do kancelarii Prezydenta.

Na jesieni pułk nasz powrócił do Siedlec, rozpoczął się normalny bieg służby wojskowej. Dowódca naszego pułku pułkownik Krok Paszkowski mianowany generałem objął na kresach dowództwo 2 dywizji, kapitan, Janowski mianowany majorem, mój dowódca kompanii porucznik Pawłowski przeniesiony do szkoły marynarki wojennej do Swiecia, inni oficerowie przeszli do służby państwowej, między innymi dowódca drugiej kompanii kapitan Tramekurt w ostatnich latach przed wojną był wojewodą lubelskim, a ja po skończeniu służby wojskowej, wstąpiłem do policji województwa lubelskiego. Podobała mi się przysięga policyjna wyrażona w słowach „Przysięgam strzec wiernie prawa i porządku publicznego, ochraniać zdrowie, życie i mienia państwowego, oraz wszystkich obywateli bez względu na ich stanowiska społeczne, wyznaniowe i przynależność polityczną, być posłusznym władzy wybranej przez naród, nie należeć do żadnej partii”. Policja była apolityczna, nie brała udziału w wyborach.

Z Komendy Wojewódzkiej zostałem przydzielony do komendy w powiecie Sokołów Podlaski, gdzie znowu dostałem przydział na posterunek w Kosowie Lackim. W policji służba była ciężka, poza służbą normalną trzeba



Koło Młodzieży w Kosowie Lackim 1931  
Pierwszy z prawej Ksawery Jaroszuk

było dużo się uczyć różnych przepisów, jak prawa o użyciu broni, kodeksu postępowania i prawa karnego, służby śledczej, prawa o wykroczeniach i administracyjnego, o sądownictwie, itp. Na posterunku było nas pięciu, teren duży, niektóre wioski odległe o 16 kilometrów, spraw do załatwienia dużo. Wiele drobnych kradzieży, a także ciężkich uszkodzeń ciała, spowodowanych bójkami. Lokomocji żadnej. W początkowych latach obchody po wsiach odbywały się pieszo, w późniejszym okresie można było kupić rower prywatnie. Służbowych pojazdów nie było, wtedy na rowerze było już lżej poruszać się po terenie.

W Kosowie się ożeniłem z dziewczyną biednych rodziców, ale dobrą, ładną, bardzo myśmy się kochali i byliśmy szczęśliwi. W roku 1935 przeniesiony zostałem z Kosowa do posterunku w Sokołowie. W Sokołowie wynająłem mieszkanie składające się z małego pokoju i małej kuchni przy ulicy Repkowskiej 8 u Miszczuków. W Kosowie 1933 roku urodził nam się syn Zbigniew, a w 1936 roku w Sokołowie córka Bożena.

Po za normalną służbą pełniłem funkcję oskarżyciela publicznego w sprawach karnych w Sądzie Grodzkim. Komenda Wojewódzka Policji zorganizowała w Siedlcach egzaminy dla tych, co nie byli w szkole policyjnej. Takich szkół w Polsce było dwie „w Golędzinowie i w Mostach Wielkich”. Ja w takiej szkole nie byłem, tylko wprost skierowany zostałem do służby operacyjnej, egzamin zdałem z wynikiem bardzo dobrym.

Na terenie powiatu sokołowskiego w 1934 roku przy stronnictwie narodowym pod przewodnictwem Czesława Grądzkiego z Telak powstała organizacja „Młoda Falanga”, skupiająca młodzież męską, która rozpoczęła masowo zakłócać spokój publiczny. Wybijanie szyb w domach żydowskich, przewracanie i demolowanie straganów handlowych żydowskich, wystawianie pikiet przed sklepami żydowskimi –to ich robota. Władze na to patrzyły łagodnie, stosowały małe kary wobec winnych, natomiast sami przywódcy byli bezkarni. W roku 1935 zaczęło to pomału ucichać, młodzi narodowcy ze



Komenda Powiatowa Policji w Sokółowie Podlaskim rok 1936.  
ostatnim rzędzie pierwszy od lewej stoi Ksawery Jaroszuk.

starymi rozpoczęli się zwalczać, dochodziło między nimi do bijatyki, nawzajem rozpędzać sobie zebrania, aż w końcu falangiści ucichli zupełnie.

W roku 1938 zostałem przeniesiony do posterunku policji w Jabłonie Lackiej i objąłem funkcję komendanta Posterunku. Oprócz mnie było jeszcze dwóch policjantów, starszych ode mnie wiekiem. Jeden z nich Antonowicz pochodzący z Małopolski, służył w armii austriackiej, nie był zadowolony z tego, że ja zostałem komendantem a nie on, prowadzenia wymigiwał się od ważniejszych spraw, jak tylko zaszły w terenie ważniejsze przestępstwa, zawsze zgłaszał, że jest chory i jechał do lekarza. Drugi policjant Karczewski spec od zwalczania kłusownictwa, w wymowie był dobry, ale ciężki w piśmie. Tak, więc przeważnie sam musiałem wszystko robić. Stałych dyżurów na posterunku nie było, ale zawsze wywieszane były kartki informujące, do którego policjanta w ważnych wypadkach należy się zwrócić. Oddalenie się chociażby na parę godzin poza rejon siedziby posterunku było niedozwolone.

W roku 1939 wojna zastała mnie w Jabłonie. Na posterunku miałem zdeponowane karty powołania dla rezerwistów, które po otrzymaniu odpowiedniego rozkazu, przez gońców z góry upatrzonych wysłałem w teren. Ci je każdemu rezerwiście doręczyli, tak że w paru godzinach powołani rezerwiści odjechali do wojska, trzeciego dnia była mobilizacja koni i wozów. Armia nie była zmechanizowana jak obecnie, jako siły pociągowej do armat i taborów oraz kawalerii używano koni, dla zabezpieczenia porządku wysłałem patrole policyjne w teren.

W drugim tygodniu otrzymałem rozkaz Komendanta Powiatowego o ewakuacji posterunku do Kosowa Poleskiego. Na dwie furmanki zarekwirowane w majątku Łuzki załadowałem zdeponowaną broń, wszystkie akta, w tym też pozostałe karty mobilizacyjne. Z całą obsadą posterunku ruszyłem w kierunku Kosowa Poleskiego, jechałem wolno, bo wszystkie drogi były zatłoczone uciekinierami, miałem jechać przez Drohiczyn i Wysoko – Litewskie. Tymczasem przede mną został zerwany most na Bugu, niemieckie czołgi



Sokołów Podlaski, rok 1936. Pierwszy z lewej Ksawery Jaroszek

znajdowały się już za mostem od strony Drohiczyna. Skierowałem się przez Korczew na Łosice, Janów Podlaski, Białą do Brześcia. Zatrzymywałem się tylko na popas koni no i ludzie musieli się pożywić. W sklepach można było dostać chleba i wędliny oraz różne napoje. W Brześciu, gdy tylko przejechałem most, został on zaraz wysadzony. Wojsko nasze szykowało się do obrony Brześcia.

Samoloty niemieckie bez przerwy krążyły i zrzucały bomby na Brześć. Droga do Kosowa Poleskiego była odcięta, pojechałem na Kobryń i w ciągu dwóch tygodni dojechałem do Łucka na Wołyniu. Gdy przejeżdżałem przez Kowel likwidowali fabrykę tytoniową i magazyny wojskowe, zaopatrzyłem się w większą ilość wyrobów tytoniowych i dwa nowe koce wojskowe oraz dwa słupki zapalek.

W Łucku dołączyłem do pułku policyjnego, przydzielono mnie do szóstej kompanii, na drugi dzień wyruszyliśmy z Łucka w kierunku Równego, ale zaraz za Łuckiem dostaliśmy wiadomość, że w Równym są już Sowieci i maszerują na Łuck, wobec czego zawróciliśmy z powrotem do Łucka. Wówczas wieczorem wszystkie akta spaliłem, a broń zdeponowaną utopiłem w Styrze. Przydzieleni rezerwiści oderwali się ode mnie w Kobryniu, starzy policjanci w Kowlu, pozostał ze mną tylko jeden policjant Antoni Gmiter, z którym resztę niedoli dzieliłem.

Na drugi dzień na zbiórce pułkownik powiedział, że dziś na pewno wkroczą Sowieci, nie mamy, co się bronić, jak zażądają zdania broni, zdajemy bez żadnego oporu. Moją kompanię szóstą wysłano na przedmieście Łucka celem utrzymania porządku. Pierwsi Sowieci, gdy wjechali, nas nie zaczepiali, oficerowie wzajemnie sobie salutowali, wyglądało to wszystko przyjaźnie, ale nasz dowódca, porucznik rezerwy był niespokojny jakby coś przeczuwał. O godz. 22.30 zabrał nas i prowadził do pułku. Gdy szliśmy ulicą Kościuszki Sowieci nas otoczyli i oficer wezwał do rzucenia broni, co też uczyniliśmy, ale nas nie zatrzymywali a my rozbrojeni zaszliśmy do pułku. Zastaliśmy wszystko

*pod broń, dało się wyczuć jakby zadowolenie, ale jak nasz dowódca porucznik zameldował, że nas Sowieci rozbroili, wydano nam drugą broń, cały pułk się w pośpiechu ulotnił, a nasza szósta kompania wycofywała się ostatnia, jako osłona wycofującego się pułku. Gdy wchodziliśmy na most na Styrze prześcignęły nas trzy czołgi sowieckie, oświeciły reflektorami i po raz drugi naszą kompanię wezwali do złożenia broni, znowu bez żadnego oporu po raz drugi broń złożyliśmy, było to o. godz. 2-3.*

Noc była ciemna, siał mały deszcz, wystarczyło zejść na bok ze świateł czołgowych, wtedy już nikt nie mógł rozpoznać, kto idzie, nie zatrzymywano nas, przeszliśmy przez most i udaliśmy się drogą w kierunku Lwowa. Po drodze spotkaliśmy dużo wojska polskiego idącego do Łucka, które informowaliśmy, że w Łucku są Sowieci i nas rozbroili, wówczas wojsko zawróciło i poszło w odwrotnym kierunku.

Po przejściu około 25 kilometrów za Chorowem nadeszła wiadomość, że Lwów zajęli już Niemcy, wówczas dowódca kazał nam się rozejść, gdzie, komu pasuje, pozostał nam tylko jeden kierunek - do domu - odległego o 500 kilometrów. Utworzyła się nas grupa siedmio osobowa, jeden był z Kaszub, czterech z okolic Skierniewic i Sochaczewa i nas dwóch z powiatu Sokołowskiego. Skierowaliśmy się na Sokal, chodziło nam o przedostanie się na drugą stronę rzeki Bug, bo krążyły wiadomości, że Sowieci zajmują teren tylko do Bugu.

Wieczorem weszliśmy do zabudowań stojących na koloni za Chorochowem i poprosiliśmy gospodarzy o nocleg. Chętnie nas przyjęto, gospodarzem był mężczyzna w wieku 45-50 lat, jego żona i córka młoda mężatka, której mąż został powołany do wojska polskiego i jeszcze nie powrócił. Gosposie przygotowały miednice z wodą, czyste ręczniki i kolację, składającą się z chleba, masła, jaj i mleka, natomiast gospodarz był niechętny, patrzył na nas spod oka. Chcąc nawiązać rozmowę z nim wydobyłem paczkę papierosów, poczęstowałem go, wówczas się rozpogodził i powiedział, że chyba



mnie Pan Bóg zesłał, bo jest nałogowym palaczem i trzy dni nie palił, dlatego chodzi na wpół nieprzytomny. W palenie zaopatrzyłem się jak już wspomniałem w Kowlu, więc wydobyłem z plecaka parę paczek tytoniu, papierosów i zapalek i dałem mu. Bardzo się tym ucieszył, stał się serdeczny i rozmowny. Okazało się, że parę dni temu powrócił z więzienia z Brześcia, gdzie odsiadywał dwa lata więzienia za przynależność komunistyczną, na skutek tylko działań wojennych z więzienia został wypuszczony. Do więzienia się dostał przez prowokatora, który namawiał go do wstąpienia do partii komunistycznej, a na rozprawie sądowej przeciwko niemu zeznał. Poradził nam byśmy nie szli, na Sokal, bo tam są banderowcy, którzy mordują Polaków, radził nam skierować się na Kryłów. Spaliśmy w stodole na sianie, które okazało nam się najlepszym łóżem.

Na drugi dzień rano jak tylko wzeszło słońce wyszliśmy ze stodoły, gospodyni przygotowała nam czystą miednicę, ręczniki i wodę, gdyśmy się pomyli, poprosiła na śniadanie, podały nam znowu gorące mleko, ser i jaja, gdy przed odejściem zapytałem ile za gościnność mamy zapłacić? Gospodyni odpowiedziała, że nic płacić nie trzeba, niech nas Bóg szczęśliwie zaprowadzi do domu. Wówczas odrolowałem z plecaka koc wojskowy - nowy, który zdobyłem w Kowlu i dałem gospodyni, mówiąc, by przyjęła, będzie miała pamiątkę po nas, bardzo tym się ucieszyła. W zamian włożyła mi do plecaka pół bochna chleba, kawałek masła i kilkanaście gotowanych jaj, oczywiście, że w dalszej podróży mi się to przydało, dzieliłem się tym z kolegami niedoli. Gdy żegnałem się z gospodarzem, ten mi proponował, żebym został u niego, aż wszystko unormuje się, na to nie zgodziłem się, instynktownie czułem, że jak Sowietci obsadzą Bug, to się nie wydostanę, więc nie zgodziłem się na jego propozycje. Gdy już odchodziłem parę kroków podszedł ze mną i poradził, bym zdjął z siebie umundurowanie policyjne, a on da mi swoje ubranie cywilne, bo w mundurze nigdy do domu nie zajdę. Przechodzić muszę przez Lutowierz i Żabczyce, są tam Ukraińcy, a ominąć tych miejscowości nie można. No to się zgodziłem, dał mi swoje stare ubranie i wyszarzały kapelusz, ja mu dałem z

siebie umundurowanie i tak ruszyłem w dalszą podróż. Kolegę mego Gmitra Antoniego przebrał drugi gospodarz – tylko Gmiter pozostawił sobie spodnie granatowe, przez nie w drodze miał kłopoty.

Po drodze na noclegi zatrzymywaliśmy się w kilku jeszcze wioskach. W okolicach Włodzimierza na Wołyniu natrafiliśmy na ludzi, którzy nam noclegu jako takiego nie odmówili. Raz natrafiliśmy na osiedloną polską rodzinę Dąbrowskiego z Tchórznicy, był on bardzo zaniepokojony, nie wiedział co robić, czy iść z nami, czy pozostać? Bał się mściwych Ukraińców, szkoda mu było rodziny i pozostał.

W Lutowierzu spotkaliśmy dużo uzbrojonych Ukraińców, zatrzymywali nas i kazali iść do Włodzimierza gdzie był obóz polski, oczywiście wychodziliśmy w kierunku Włodzimierza, a po odejściu kilometra skręcaliśmy lasami i polami na Kryłów. W Żabczycach było jeszcze gorzej, kilkudziesięciu uzbrojonych cywilów z czerwonymi opaskami na rękawach strzegło kilku zatrzymanych policjantów polskich. Jeden z nich zobaczył Gmitra w granatowych spodniach i powiedział, że jest to policjant. Zaczęli nas wypytywać, co my za jedni i czym się trudnimy, ja tłumaczyłem się, że miałem swój sklep spożywczy i żyłem z handlu, a Gmiter, że pracował na kolei (kolejarze też mieli granatowe mundurowanie), dlatego ma spodnie granatowe. Wtedy znowu nas puścili, ale kazali iść do Włodzimierza.

Gdy odeszliśmy około kilometra drogi, dopędził nas rowerem jeden uzbrojony osobnik, zatrzymał Gmitra, a nam kazał iść dalej. Odeszłem z pozostałą grupą ze 200 metrów, spotkałem chatę przy drodze z której wyszła kobieta, poprosiłem ją o mleko, ta nam wyniosła dzieżkę mleka, pijąc mleko obserwowałem, Gmitra co się z nim stanie. W tym czasie z Żabczyc nadjechało sześć parokonných wozów naładowanych uzbrojonymi cywilami. Jeden z nich rosły, w papasze i sumiastym wąsem musiał być ich przywódca. Jak opowiadał mi Gmiter osobnik strzegący Gmitra, pytał „Wąsarza” „co ma z nim (Gmitrem) zrobić”. Na to odpowiedział mu, że Gmiter musi iść do Włodzimierza, a sam

siadł do kompanów i jechał na zgrupowanie do Włodzimierza. Gmiter dołączył do nas, podeszliśmy jeszcze drogą na Włodzimierz i jak straciliśmy z widoku jadących przed nami Ukraińców na zgrupowanie, skręciliśmy drózkami polnymi na Kryłów.

W Kryłowie nie mogliśmy przeprowić się przez Bug, most zniszczony, łódki zarekwirowane przez nowe władze miejscowe, rzeka głęboka, o ostrym biegu. Ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Uściługa, ze dwie noce zatrzymaliśmy się w lichych stodółkach stojących samotnie na polu, unikając Sowietów i omijając większe osiedla. Ciężko mi się szło, pościerałem nogi nie wygodnymi kamaszami, bo swoje buty z cholewami zmieniłem na kolonii Chorochów na kamasze, nie rzucało to się w oczy Sowietom, ani miejscowej hołocie.

W drodze do Uściługa zobaczyłem nadjeżdżającą za nami furmankę, pozostałem w tyle od naszej kilkusobowej grupy, wy dobyłem papierosy i zapaliłem. Zobaczył to mężczyzna jadący na furmance, zatrzymał konia i zaprosił, żebym usiadł na furmankę to mnie podwiezie. Na to ja tylko czekałem, zaraz poczęstowałem go papierosem i powiedziałem, że przede mną idzie kilku kolegów, których zostawić nie mogę, więc on i pozostałych wziął na wóz. Okazało się, że wysłany został z Uściługa do Włodzimierza po sprzęt stolarski, jak piły, siekiery i gwoździe, które są potrzebne Sowietom do budowy mostu na Bugu w Uściługu. Rzeczywiście, miał na wozie kilka siekier i pił. Uściług zastaliśmy dogorywający w zgliszczach, polskie wojska pod dowództwem generała Kleberga stoczyły bój z Niemcami, tak, że Niemcy musieli odstąpić. Sowietom na Bugu zrobili most przy samej wodzie, przez który przeprowiali tabory. Brzegi Bugu strome, konie nie mogły wyciągnąć wozów pod górę, nas Polaków przy tym zebrało się kilkudziesięciu. Zwrócili się do nas, żebyśmy popychali i pomogli wjechać pod górę, na to my tylko czekaliśmy. Chętnie podbiegliśmy po kilkunastu do jednego wozu i pomogliśmy się im przeprowić, ale sami nie zawracaliśmy, tylko skręciliśmy na drogi boczne w kierunku na

Chełm.

W Chełmie nasza grupa się rozeszła, Kaszub, oraz ci od Skierniewic i Sochaczewa poszli w swoim kierunku na Lublin, ja i Gmiter na Włodawę, Parczew i Radzyń. Spotkaliśmy wojsko polskie, które prowadziło utarczki z Sowietami i Niemcami. Po naszej stronie Buga spotkaliśmy się z odmową nam noclegu i sprzedaży pożywienia. Trzeba było przejść kilkanaście chałup, zanim spotkało się kogoś, co nie odmówił nam jakiegokolwiek noclegu. Przechodziliśmy z Radzynia w kierunku Międzyrzecza przez jakąś wioskę biedną, napotykać ludzie zapraszali żebyśmy przenocowali u nich, bo następne wioski są bogate i nas nie przenocują.

Do wieczora było jeszcze z godzinę czasu, postanowiliśmy iść dalej, zdawało nam się, że i cztery kilometry podejść bliżej domu też jest dobrze. Po zachodzie słońca przyszliśmy do wsi Jurki, widać było zamożność mieszkańców, na każdym gumnie po kilkanaście sztuk bydła spędzone na noc z paśnika, stodoły duże, a jeszcze za stodołami pełno ustawionych stert, widać dostatek w każdym gospodarstwie.

Od pierwszej z brzegu chaty zaczęliśmy prosić o nocleg, przeszliśmy całą wieś wszędzie nam odmówiono, postanowiłem zadekować się na noc w którąś stertę, towarzysz mój Gmiter bardzo się zdenerwował, zaczął przeklinać i wyzywać różnych chorób i piorunów na mieszkańców tej wsi. Wtem spotkaliśmy chłopaka w wieku dziesiętnastu lat, wracającego z parą koni z pola. Chłopak ten zapytał Gmitra, dlaczego tak zemści, na to Gmiter powiedział, że jesteśmy rezerwistami, wracamy z Łucka z Wołynia, cały czas tułaliśmy się wśród wrogiej ludności, lecz nikt nam noclegu nie odmówił. Tu przyszliśmy do swoich i nikt nas przenocować nie chce, na to młodzieniec powiedział "panowie pozwolą ze mną ja panów przenocuję", wróciliśmy się z nim. Gdy weszliśmy z nim na podwórze wyszła jego matka, u której przed tym byliśmy i powiedziała. „Gdzież ty Franiu tych panów prowadzisz u nas nie ma gdzie przenocować”. Na to młodzieniec odpowiedział „niech mama tak nie mówi, sama nigdzie nie była i

nic nie wie, ja panów przenocuję”. Wpuścił konie do stajni, nas poprosił do domu, wzniecił ogień w kuchni, sporządził jajecznicę i w trzech spożyliśmy kolację. Potem rozmawialiśmy o swoich przeżyciach. Okazało się, że młodzieniec ten uciekł przed nadciągającymi Niemcami i powrócił z tułaczki na trzy dni przed naszym przybyciem. Na drugi dzień dał nam jeszcze śniadanie i tak w przyjaźni rozstaliśmy się. W nocy tej spaliśmy w stodole na sianie.

Przechodziliśmy przez wieś Kąkolewnica. Wyrzwał do nas lufcikiem nauczyciel i ostrzegł byśmy nie szli dalej, gdyż Sowieci okopani są na polach. Nam się zdawało, że jak dotychczas Sowieci nas nie zatrzymywali, więc i dalej pójdziemy spokojnie. Tymczasem, bardzo się zawiedliśmy. Za Kąkolewnicą jakieś trzy kilometry od wsi weszliśmy na okopy sowieckie. Zatrzymali nas, obrali nas z zegarków i wszystkiego, co posiadaliśmy i zagnali do sztabu jednostki znajdującego się w majątku Zawady. Przesłuchiwali nas w Zawadach enkawudziści, zrewidowali nas po raz drugi, obejrzeni nam ręce i widząc je nie spracowane, wmawiali w nas, że jesteśmy oficerami, po czym dołączyli do nas zatrzymanego chłopaka z Zawad i pod eskortą ośmiu bojców popędzono do sztabu dywizji, który zakwaterował w szkole podstawowej w Krzesku.

Ze sztabu szkoły przypędzono nas do jednego domu w Krzesku, gdzie było już zatrzymanych około trzydziestu byłych żołnierzy polskich. Przez całą noc byliśmy strzeżeni przez pluton Sowieców. Na drugiej połowie tego domu mieszkał właściciel, który nas zapewniał, że na drugi dzień rano Sowieci nas puszczą, bo tak robią każdego dnia, tymczasem okazało się inaczej. Na drugi dzień rano przyszedł lejtnant sowiecki z enkawude i zapytał czy nam chce się jeść, odpowiedzieliśmy, że tak, wówczas on powiedział, że zaraz dostaniemy chleb i zupę, ale pojedziemy aż do Baranowicz. Po jego wyjściu za 10 minut, wszedł drugi lejtnant i kazał nam wychodzić, gdyśmy wyszli ustawiono nas czwórkami i pod silną eskortą poprowadzono do szkoły. Na placu szkolnym dołączono do grupy ludzi przypędzonych z Siedlec, w tej grupie byli urzędnicy bankowi z prezesem na czele, wszyscy pracownicy Urzędu Miasta w tym i

woźni z magistratu siedleckiego, „było tego z Siedlec około 70 osób”. Wszystkich nas otoczono silną eskortą i popędzono pieszo do Międzyrzeca. Prezes banku był już po 60-ce, iść nie mógł, ledwie go współpracownicy do Międzyrzeca przywlekli. W Międzyrzecu wpędzono nas na niewielki ogród, zaczęło nas otaczać miejscowe Żydostwo, przeważnie będące pod bronią, które zaczęło bardzo się dziwić, dlaczego to tak jest. Po co gonia prezesa banku i pracowników magistrackich, dopytywać się czy nie są głodni, a gdy otrzymali odpowiedź, że tak, runęło to Żydostwo z koszami owoców między nas. Sowieni z eskorty zaczęli ich wypychać od nas, wtedy i nam ośmiu udało się wydostać razem z Żydami. Żydzi nam zaproponowali, żebyśmy szli do kuchni zorganizowanej dla uciekinierów. Mieli mieć przygotowane trzysta obiadów, ale jak zobaczyliśmy masy uciekinierów przy tej kuchni, zrezygnowaliśmy z obiadu. Postanowiliśmy się zamelinować na jakiś czas, aż to wszystko dojdzie do jakiegoś porządku, schowaliśmy się do domu noclegowego dla rajzerów.

Właścicielką była stara panna z kochankiem, zawodowym przestępcą, z którym zaczęliśmy rozmawiać żargonem złodziejskim. Ten widząc, że ma kolegów po fachu, wypowiadał się nam o wszystkich kradzieżach i wyczynach bandyckich swoich, że siedział w więzieniu, co mu udowodniono, oraz o tych, co nie zdołano mu udowodnić. Umówiliśmy się z nim, że w przyszłości jak będziemy mieli jakąś grubą robotę to on przyjedzie ze swoimi fachowcami i tego dokona, a jak będzie on miał trochę, to my przyjedziemy i ją załatwimy. Mieliśmy jeszcze pieniądze, daliśmy jemu, a on nam dostarczał żywność i różne informacje o ruchach Sowietów. Mówił nam, że Sowieni się wycofują, wykupują wszystko, co im wpadnie w rękę, żydostwo miejscowe jest bardzo zaniepokojone i ucieka z Sowietami.

Na czwarty dzień rano obaj z Gmiturem wyszliśmy na spacer, zobaczyliśmy, że Sowietów nie ma, a masy ludzi uciekinierów idzie szosą w kierunku Siedlec, dołączyliśmy to tych ludzi i doszliśmy z powrotem do Krzeska. Wieczorem doszliśmy do wsi Bejdy, a następnego dnia udaliśmy się



Jabłonna Lacka, przed Posterunkiem Policji, rok 1942. Od prawej siedzi Ksawery Jaroszuk z córką Bożeną, za nim komendant posterunku Konieczny, stoi Jakubowski z synem Ksawerego Zbigniewem. Siedzi od lewej Mamcarz z córką Zawodnika i Zawodniak ze swoją drugą córką.

przez wieś Klimonty do Mórd. W Mordach widzieliśmy dogorywające ogniska w okopach sowieckich, tego dnia pół godziny przed naszym przybyciem Sowietów opuścili Mordy. Z Mórd przyszedliśmy do mojej rodzinnej wsi Ogrodniki. Tu jeden dzień odpoczęliśmy, poczem brat odwiózł nas do wsi Szkopy, dalej była obawa, że Niemcy na szosy do Drohiczyna, którą musiał przejeżdżać mogą zarekwirować mu konia z wozem.

Na wieczór w znanej już okolicy dotarłem do Jabłonny, ale do domu nie wszedłem. Posłałem znajomego mi obywatela Zaniewskiego do mojej żony, a gdy żona przybyła i oznajmiła, że nie ma Niemców i żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi, wróciłem do swojego mieszkania. Było to wieczorem dnia 30 października 1939 r.

Żyję dzięki komuniście z koloni Chorochów, który mnie przemundurował i dał odpowiednie wskazówki, oraz Żydom w Międzyrzeczu, w których tłumie wyostałem się z niewoli sowieckiej, a najwięcej Opatrzności Bożej, że nie dotarłem do Kosowa Poleskiego, bo ci koledzy, co tam się znaleźli, a było ich 13-tu z powiatu sokołowskiego wszyscy zginęli.

Na drugi dzień w Jabłonie rozkwaterowało się wojsko niemieckie, rozpoczęła się okupacja. W moim mieszkaniu zakwaterował lejtnant Płatnik, w cywilu był pracownikiem bankowym, pochodził z Prus Wschodnich. W odległości 4 kilometrów od Jabłonny na Bugu ustanowiona została granica sowiecka. Niemcy rozpoczęli w mieszkaniach polskich rewizje za bronią, w kopcu z ziemniakami u mego sąsiada znaleźli rewolwer „nagan”, zatrzymali młodego Jana Tomasiuka, wywieźli go do Łochowa i rozstrzelali. Była to pierwsza ofiara okupacji. Zwłoki jego Niemcy wydali żonie, został w Jabłonie pochowany. W pogrzebie brało bardzo udział dużo ludzi z okolicznych wsi udział. Gdy przechodził kondukt pogrzebowy napotkani żołnierze Niemcy stawali na baczność i salutowali, zachowanie ich było przykądne.

Do oficera płatnika kwaterującego u mnie, przychodził lekarz wojskowy. Razu pewnego późnym wieczorem siedzieli obaj przy rumie, przyszedł



sanitariusz i powiedział doktorowi, że przywieźli ciężko chorą kobietę polską i proszą by udzielił jej pomocy, gdyż w Jabłonce polskiego lekarza nie ma. Lekarz wojskowy Niemiec natychmiast wstał od stołu i udał się do swego punktu lekarskiego, chorej udzielił porady, wypisał odpowiednią receptę i wrócił do oficera płątnika. Za kilkanaście minut po raz drugi przyszedł sanitariusz i oznajmił, że mąż chorej kobiety nie dostał w aptece lekarstwa, gdyż aptekarka wyjechała, jest tylko sprzątająca. Na to oficer lekarz wyszedł po raz drugi udał się do apteki, wybrał odpowiednie lekarstwo i dał, mężowi chorej. Sam znowu powołał, z płątnikiem siedzieli przy rumie, do godz. 24-ej, poczem rozeszli się. Kobieta też wyzdrowiała. Takim postępowaniem Niemcy zaczęli zjednywać sobie sympatie ludności polskiej, lecz w parę miesięcy później stawali się coraz agresywniejsi. Zaczęli zrzucać przechodzącym mężczyznom polskim czapki z głów, popychać Polaków idących chodnikami, od zmierzchu wprowadzali godzinę policyjną.

W marcu 1940 roku wojsko niemieckie z Jabłony i nadbrzyńskich miejscowości zostało wycofane. Straż graniczna obsadziła granicę na Bugu. Latem tegoż roku rolnicy otrzymali nakazy do odstawy zboża, ziemniaków i żywca mięsnego, nakazy były wygórowane, niektórzy rolnicy posiadali mniej niż mieli wyznaczone w nakazach.

Na wiosnę tegoż roku wstąpiłem do organizacji Polskiego Zbrojnego Powstania, organizatorem był Popławski z Sokołowa o pseudonimie „Kotan”. Miejscem naszej zbiórki było mieszkanie Jana Abramczuka na kolonii Jabłonna, ja przyjąłem kierownika łączności, obrałem pseudonim „Posepny”. Praca moja wiązała się z wywiadem i dywersją – działem nr. 2, mój dział był oznaczony nr. 4. Na czele drugiego wydziału stał Soszyński Stefan, pseudo „Nat”, w wojsku polskim służył w marynarce wojennej. W późniejszym czasie organizacja nasza weszła w skład Armii Krajowej.

W tymże roku Niemcy wezwali wszystkich polskich urzędników i policjantów do objęcia dawnych stanowisk. Nasza organizacja też to zalecała,



Jabłonna Lacka rok 1942. Od lewej policjanci po cywilnemu Zawodniak i Mamcarz, żona Mamcarza. Jadwiga z d. Krzyżanowska. W mundurze Szymański i K. Jaroszuk.

bo okazało się to potem potrzebne w pracy podziemnej. Dowódcą naszym był Czuma Eustachy, nauczyciel w Dzierzbach, pseudonim „Tur”, podporucznik rezerwy Wojska Polskiego. Kierownikiem pierwszego wydziału organizacyjnego był Dziak Józef, były komendant posterunku policji w Sokołowie, a działu trzeciego gospodarczego Jan Abramczuk, podoficer rezerwy. Do naszej organizacji, z którymi miałem styczność należeli Wacław Giziński pseudonim „Bąk” podoficer rezerwy, Marjan Kłopotowski z Bujal i Wacław Kobyliński z Toczysk. O wszystkich członkach organizacji nie można było wiedzieć, dla bezpieczeństwa na wypadek wpadki.

Dobrałem sobie trzech gościów, młodych chłopaków, Henryka Przesmyckiego, pseudonim „Sokolik” z Nimirk, Jana Tomasiuka z Jabłonny i Mieczysława Kosieradzkiego z Jabłonny Średniej. Jak sam nie mogłem, to jednego z nich wysyłałem z korespondencją do umówionych punktów w Sokołowie i przywiezienia prasy codziennej. Pewnego razu wysłałem Sokolika po prasę, gdy wracał z paczką prasy, w drodze z Sokołowa nadjeżdżali samochodem żandarmi. Stał, wypuścił z roweru powietrze, wzniesieniem ręki zatrzymał żandarmów i poprosił ich by go zabrali do Jabłonny, bo on z apteki w Sokołowie wiezie dla chorego ojca lekarstwa, a rower jego nie trzyma powietrza, jechać dalej nie może, a ojciec może nie doczekać jego powrotu. Do Jabłonny miał jeszcze osiem kilometrów, żandarmi nad nim się zlitowali, zabrali go na swój ciężarowy samochód i przywieźli do Jabłonny pod nasz posterunek. Gdy zobaczyłem wysiadającego Sokolika z samochodu nabitego żandarmami, strach mnie obleciał. Pomyślałem, że Sokolik wpadł i wyspał mnie, bo poza mną nikogo z naszej organizacji nie znał. Dopiero ochłonąłem jak żandarmi odjechali dalej do wsi Dierzby, za kontyngentem zboża. Sokolik wszedł do mnie na posterunek przedłożył paczkę niebagatelnej prasy i opowiedział jak to było, że przyjechał z żandarmami.

Za okupacji komendantem posterunku nie byłem, w pierwszych miesiącach był Dziak, po nim przez parę miesięcy Zembrowski, a po nim

Jakubowski, było nas tylko dwóch, czuliśmy się dość swobodnie. Niemcy kazali nam zwalczać nielegalny handel, zabierać różne artykuły żywnościowe i im dostarczać. My nigdy tego nie robiliśmy, a wręcz odwrotnie, handlujących ochranialiśmy i ostrzegaliśmy przed niebezpieczeństwem ze strony Niemców.

Jednej niedzieli w czerwcu 1941 roku w godzinach południowych przyjechał do Jabłonny Krajhauptman (starosta) z Sokołowa. W tym czasie wyszło dużo młodzieży z kościoła, do parafii jabłońskiej należało 16-naście wiosek, więc młodzieży było dużo. Niemiec widząc naszą młodzież wsiadł w samochód i odjechał. Na czwarty dzień zostaliśmy wezwani do stawiennictwa się w Sokołowie. Jakubowski był nieprzytomny, pojechałem sam. W Komendzie Powiatowej Policji zastałem zgrupowanych policjantów z całego powiatu. O godzinie 24-ej komendant powiatowy zaprowadził nas przed posterunek żandarmerii. Zastaliśmy tam cztery samochody ciężarowe, żandarmów ściągniętych z całego powiatu, oraz Niemców cywilów z arbjacantu. Kazano nam usiąść w jednym samochodzie, a Niemców starosta zebrał w koło siebie i powiedział do nich, że jedziemy do Jabłonny wyłapać młodzież i odesłać na roboty w Niemczech. Był w niedzielę w Jabłonie, widział dużo młodzieży ładnie poubieranej i wesołej, gdy tymczasem ich męska młodzież w wojsku znosi trudy wojny, od domu oderwana i nie ma u nich, komu pracować. Starosta wsiadł do swego samochodu osobowego, kilku żandarmów wsiadło do nas, reszta wsiadła na pozostałe samochody i wszystko ruszyło w kierunku Jabłonny.

Wśród nas polskich policjantów byli ludzie z poznańskiego, którzy znali język niemiecki i powiedzieli, do czego jesteśmy użyci. Zwróciłem się do kolegów, policjantów by ochraniali młodzież naszą, co też wszyscy przyrzekli, że będą wszystkich pouczać. Siedem kilometrów przed Jabłonną Niemcy pogasili światła samochodowe żeby nikogo nie spłoszyć. Przyjechali pod sad księdza, tu wszyscy wysiedli, pierwsi wysłani zostali na obstawę wsi, drudzy podzieleni na grupy mieli ruszać później i wypędzać ludzi z mieszkań, trzeci

odprowadzać na plac przed kościołem, a czwarta grupa pilnować na placu.

Noc była ciemna i mglista ja się oderwałem, zanim ruszyła obława, dopadłem do mieszkania Dziaka, zawiadomiłem jego i sąsiada Nowaka o tym. Dziak ukrył swoje dwie córki panny. Nowak zaalarmował innych i sam uciekł do lasu, bo był młodym kawalerem, a ja wpadłem do swego mieszkania, obudziłem żonę, ona zaalarmowała najbliższych sąsiadów, ci następnych i tak zanim zdążyli Niemcy obstawić wsie Jabłonnę Starą i Lacką, mieszkańcy o łapance zostali zawiadomieni.

Niemcom nie wystarczyło ludzi do obstawiania całych wsi, obstawili najkrótsze drogi i ścieżki do lasu, przez moje podwórze była najkrótsza droga, przy niej za budynkiem gminnych na czatach stali żandarmi, ja stałem na ulicy przed swoim domem i kierowałem uciekających o trzysta metrów pod stodołami w lewo i pod cmentarzem, do lasu zwanego Ojcowem. Koledzy w czasie doprowadzania na plac zbiórki, też młodzież puszczali. Potem, gdy się rozwidniło, okazało się, że na placu młodzieży nie ma, a tylko starzy ludzie. Starosta wściekał się, krzychał „skąd oni wiedzieli, że my tu przyjedziem”. Przecież jak był w niedzielę widział tyle młodzieży, a dzisiaj nie ma ani jednego. Wreszcie wsiadł w swój samochód, pozostali Niemcy i polscy policjanci wsiedli na wozy ciężarowe i wszyscy odjechali z niczem.

Ja pozostałem w Jabłonie. Miejscowa ludność była dla nas życzliwa, wiedząc o tym, że gdyby nie polscy policjanci, okoliczna młodzież znalazłaby się na robotach w Niemczech. Potem Niemcy zażądali spisu młodzieży z gmin, której przesłali nakazy do stawiennictwa w gminie i odjazdu na roboty w Niemczech. Z gminy spisy przesyłano specjalnymi gońcami. Nasza organizacja zatrzymywała gońców w drodze, zabierała spisy i paliła. Zanim drugi spis został w gminie sporządzony, pewien czas upłynął. Niemcy nakazali urzędowi gminnym by spisy sporządzali w trzech egzemplarzach dlatego, że jak w drodze gońcowi zostanie zabrany spis młodzieży, to żeby gmina przesłała im drugi egzemplarz.

Nasza grupa dywersyjna w nocy dokonała napadu na urząd gminny i wszystkie spisy i wykazy spaliła. Raz zdarzył się przykry wypadek. Dwóch ludzi z naszej organizacji, Wacław Czarnocki i Polak we wsi Dzierzby na szosie za Jabłonną czatowało na gońca, wiozącego do arbajantu spis młodzieży. W tym drogą od Tchorznicy nadjechali Niemcy i krzyknęli do nich „Halt” (to jest: stój), obaj rzucili się do ucieczki, Niemcy zaczęli strzelać za nimi i Czarnockiego zabili, Polakowi udało się zbiec. Niemcy przyjechali do naszego posterunku, zawieźli komendanta posterunku Koniecznego i mnie, żebyśmy rozpoznali, kto to jest i skąd. Zналиśmy go dobrze, lecz powiedzieliśmy, że to nie z naszego terenu, nie znamy go, pewnie pochodzi zza Buga, to znaczy z zagranicy sowieckiej. Gdyby się dowiedzieli skąd jest, na pewno na wsi Dzierzby zemściliby się. Ludność nasza w różny sposób chroniła się od wyjazdu do Niemiec na roboty.

Rodzice swoje córki czy synów w pościeli na wozie, przywozili na zbiórkę do gminy jako chore na tyfus. Wówczas Niemcy kazali im zawracać czem prędzej do domu i sami odjeżdżali, bo się bali tyfusu.

We wsi Kamieńczyk mieszkał zawodowy złodziej i bandyta Michał Ambroziak. Z drugim kumplem Krystosiakiem z kolonii Stasin, dokonali napadu na młyn w Padarewku i zabrali pasy skórzane. Dwóch policjantów polskich ze Sterdyni zostało wysłanych na dochodzenie. Kiedy za śladem wchodzili do mieszkania Krystosiaka, Ambroziak strzałami z rewolweru obydwóch zabił. Komendant posterunku żandarmerii, leitnant „Berens” urządził obławę celem ujęcia Ambroziaka. Oczywiście Ambroziaka nie ujęto, ale zatrzymał dziewiętnastu młodych chłopaków z zamiarem wysłania ich do roboty w Niemczech. Wyznaczył nas czterech policjantów polskich do odprowadzenia tych chłopaków do majątku w Łazowie, gdzie mieli przyjechać z arbajantu i zabrać ich.

W drodze jeden z chłopaków zwrócił się do mnie, czy może uciekać, odpowiedziałem mu, że niech uciekają do tyłu i pobliskiego lasu, niech się

naszych strzałów nie boją, bo strzelać będziemy w górę, uciekło 15-tu, czterech pozostało, bo mieli zaświadczenia, że pracują u Niemców w straży granicznej. Byliśmy pewni, że ich nie zabiorą, tymczasem gdy przyjechał kierownik arbjancantu Niemiec, nie zważał na zaświadczenia straży granicznej, tylko tych czterech chłopców wysłał do Niemiec na roboty. Lejtnant okropnie się na nas rozłościł za to, żeśmy puścili piętnastu chłopców, kazał żandarmom nas pilnować, zaraz telefonicznie przedstawił nas do komendanta żandarmerii na powiat Sokołów – Węgrów majorowi, Fiszerowi, który w krótkim czasie przyjechał do nas, do Łazowa, obejrzał nas i zapytał, dlaczego nie zabiliśmy ani jednego z uciekających? Na co nic mu nie odpowiedzieliśmy, poczem odjechał i żandarmi przestali nas pilnować, tylko Lietnant chodził zły, nic nam zrobić nie mógł.

W parę dni, potem nasz komendant powiatowy porucznik Łukaszewski powiedział mi, że major Fiszer mówił do niego, że nas dobrze rozumie, przecież jesteśmy Polakami i prowadząc Polaków, należało tak zrobić on by tak samo postąpił, gdyby przyszło mu eskortować Niemców.

Nasi rezerwiści, co dostali się do niewoli niemieckiej, pracowali w gospodarstwach niemieckich. Po pewnym czasie przyjeżdżali na urlop i do Niemiec nie wracali, Niemcy do nas przysyłali nakazy by ich doprowadzić do arbjancantu, my odpisywaliśmy, że wyjechał z powrotem do Niemiec, a jeżeli dotychczas do pracy nie powrócił, to na pewno w drodze został zatrzymany i został skierowany do innej miejscowości i prac w Niemczech. Danego rezerwistę ostrzegaliśmy, by Niemców się strzegł.

W pierwszych dniach marca 1941 roku w Jabłonie zakwaterował oddział niemieckiego wojska – saperów, dowódcą ich był kapitan rezerwy z cywila nauczyciel, który zakwaterował w moim mieszkaniu. Zaczęli kończyć budowę drogi Jabłonna-Gródek, która na odcinku półtora kilometra, przed wojną nie została zakończona. Również zaczęli dokonywać pomiarów terenów nadbużnych. Razu pewnego idąc do Dzierzb ~~spotkałem~~ Niemca, cywila

stojącego przy aparacie pomiarowym, zawołał mnie, kazał spojrzeć w aparat i powiedzieć, czy to jest wieś Bużyska nad Bugiem? Czy też inna? Spojrzałem w aparat, zobaczyłem całą okolicę i najmniejszy ruch we wsi Bużyska i za wsią pobudowane schrony sowieckie, odpowiedziałem, że tak, poczym poszedłem dalej. Na okolicznych polach i w lasach Niemcy wbili dużo palików z numerkami, potem jak przekonałem się, były to wytyczone stanowiska dla dział artyleryjskich.

W pierwszym tygodniu maja 1941 roku Niemcy obsadzili lasy okoliczne najcięższą artylerią. Pod wsią Tończę stało osiem armat, w lesie Ojcowie pod wsią Łuzki osiem armat i pod wsią Niemirkami dwanaście armat. Wyczuwało się bliski wybuch wojny z Rosją. O wszystkich ruchach wojsk niemieckich, z naszej organizacji wydział drugi przesyłał meldunki do wyższych władz naszej organizacji. Na początku czerwca Niemcy złożyli materiał przy kościele w Jabłonnie na most i promy do przeprawy przez Bug. Na polach w Gródku przy Bugu złożone były w zbożu-łodzie gumowe, stawał się coraz większy ruch wojsk niemieckich, dobrze było czuć wojnę w powietrzu. Dla bezpieczeństwa odesłałem żonę z dziećmi do rodziny w Ogrodnikach sam pozostałem w domu.

18 czerwca tegoż roku saperzy po zakończeniu budowy drogi szykowali się do odjazdu, nawiązałem rozmowę z kapitanem, powiedział mi, że w piątek, lub najdalej w niedzielę rano uderzają na Sowietów. Tę wiadomość przekazałem wyższym władzom naszej organizacji. Nad granicą Bugu Niemcy skoncentrowali duże siły wojska, cały czas obserwowałem ich ruchy. W sobotę wieczorem piechota niemiecka cichaczem szła w kierunku Buga na Gródek, odległy o cztery kilometry od Jabłonn. Pierwsi żołnierze niemieccy dla zamaskowania nieśli ścięte świeżo małe brzoźki, krzaczki jałowca i sosenki, ruchem wojsk na rozwidleniu drogi kierował generał, całą noc chodziłem i obserwowałem wszystko.

O godzinie zero znalazłem się na kolonii Jana Abramczuka. W jego mieszkaniu była zainstalowana niemiecka stacja telegraficzna. Wtem z kwatery



generała wystrzelona została przez Niemców rakietą trzygwiazdista, koloru białego, zielonego i czerwonego. Zapytałem Niemca feldfebla obsługującego stację, siedzącego z nami pod domem Abramczuka, „Co to ma znaczyć ta rakietą”, odpowiedział, że jest to rozkaz do przeprawy przez Bug dla pierwszych oddziałów zwiadowczych. Powróciłem do swego mieszkania i oknem obserwowałem ruchy Niemców. Wtem o godzinie 2:30 Niemcy oddali pierwszy strzał z działa ciężkiego spod Tończy, za sekundę huknęły wszystkie działa ciężkie i lekkie ustawione w pobliżu granicy, jeden tylko huk był przez 25 minut, potem strzały były rzadsze. Oczekiwałem, że ze strony Sowietów nastąpią strzały, lecz z ich strony żaden strzał nie padł. W niespełną godzinę Niemcy przypędzili jeńców sowieckich, których zagnali do załadunku na samochody mostu, złożonego przy kościele w Jabłonie. Niemcy użyli Sowietów do budowy mostu i promu na Bugu, po skończonej robocie pognali ich do obozu do Podnieśna pod Siedlcami. Straż graniczną przenieśli na drugą stronę Bugu, włączając tereny zabużne do Prus Wschodnich.

Na jesieni w listopadzie tegoż roku jechałem pociągiem do Siedlec. Za Podnieśnem przy torze był obóz jeńców sowieckich, na obszarze około czterdziestu hektarowym, ogrodzonym drutem kolczastym. Stały niewielkie trzy baraki, a na całym placu pełno jeńców sowieckich, ubranych przeważnie w bluzy drelichowe „miało ich być około 40 000” trzymeni byli na deszczu, zimnie i głodzie. Dużo ich umarło, po trzydzieści furmanek z okolicznych wsi dziennie wywożono trupy i chowano w doły. Na wiosnę 1943-go roku jeńcy sowieccy podnieśli bunt, przerwali druty, pewnej ilości udało się zbiec, resztę Niemcy wybili i obóz zlikwidowali.

Zbiegłym jeńcom ludność polska udzielała pomocy, dawała ubranie cywilne, żywność, pomagała w przeprawie przez Bug, niektórzy z nich ukrywali się u rodzin polskich, jeden lejtnant przebywał u Olszewskich na Teofilówce, dwóch u Deoniziaka Jana na kolonii Toczyski-Średnie. Ci dwaj dokonywali różnych kradzieży. Raz ukradli świnie u Barszczewskiej, wdowy

po gajowym lasu „Gródek”, świnie zabili na miejscu, tuszę obwinęli w derkę tej kobiety i przynieśli do Deoniziaka, ten z kolei udał się z całością do Sokołowa w celu sprzedaży. Drogą z Sokołowa akurat wracała poszkodowana Barszczewska, poznała swoją derkę, w której Deoniziak dźwigał mięso, narobiła krzyku, Deoniziak rzucił mięso z derką i zbiegł. Barszczewska wzięła to i zameldowała na posterunku żandarmerii w Sokołowie o kradzieży, od tej pory żandarmeria rozpoczęła pościg za Deoniziakiem.

Pewnego razu przybyło dwóch żandarmów z Sokołowa do naszego posterunku w Jabłonie, z którymi musiałem się udać do Deoniziaka celem ujęcia go. W domu nie zastaliśmy go, kazał wachmistrz mnie i drugiemu żandarmowi przeszukać zabudowania. Gdy weszliśmy do stodoły żandarm wszedł do jednego sąsięka, ja do drugiego, a wachmistrz z Deoniziaka żoną w otwartych drzwiach na klepisku stali. Pod słomą znalazłem mięso z zabitej krowy skradzionej u jednego gospodarza, bardzo biednego ze wsi Wierzbice, nakryłem je jeszcze więcej słomą i powiedziałem, że nic nie ma, zerknąłem na Deoniziakową, odmrugnęła mi, tym dała znać, że wie o ukrytym mięsie. Odjechałem z żandarmami z niczym, w ten sposób ocalałem życie Deoniziakowej i sześciorga jej małych dzieci, bo gdyby mięso to znalazł żandarm, na pewno Deoniziakową z dziećmi by zabili i spalili jej zabudowania. Po upływie trzech miesięcy ujęła Deoniziaka w jego mieszkaniu policja niemiecka tak zwana „szupo” i pod wsią Kurowicami zabili go. Od tej pory ulotnili się i jeńcy sowieccy.

Na terenie powiatu sokołowskiego grupą dywersyjną AK dowodził porucznik Oleksiak pseudonim „Wichura” z Przeździatki, bardzo dzielny oficer. Przeprowadził kilka śmiałych akcji, jak napad na bank, trzykrotne wypuszczenie więźniów politycznych z aresztu, dwukrotny zamach na starostę niemieckiego „Gramsa”. Kiedy przejeżdżał z siedziby majątku Przeździatka do pracy w mieście, wtedy został zabity z jego osłony jeden żandarm i ranny drugi Niemiec ze służby specjalnej. Drugi raz próba zamachu odbyła się w nocy. Po

rozbrojeniu ochrony oddziału służby specjalnej ochraniającego mieszkanie starosty, Oleksiak zamierzał dostać go żywego, ten jednak oddał strzały we drzwi i Oleksiaka ranił. Wtedy oddział partyzancki wycofał się. Oleksiak próbował zlikwidować kilka osób – prowokatorów, współpracujących z Niemcami. Ostatnim razem, wskutek nie zachowania ostrożności sam zginął w Paulinowie. Zabił go strzałem z pistoletu kierownik majątku współpracujący z Niemcami, którego „Wichura” zatrzymał do okazania dokumentów, a ten zamiast dokumentu wy dobył błyskawicznie z zanadru broń i oddał śmiertelny strzał do Oleksiaka.

Po Oleksiaku porucznikiem został Wasilewski z Wyrozęb, widziałem go w Jabłonie, kontaktował się z Soszyńskim „Matem” i Gizińskim „Bakiem”. W krótkim czasie Niemcy go ujęli, wydał Soszyńskiego i Gizińskiego, na drugi dzień Niemcy wpadli rano do Jabłony, ujęli Soszyńskiego śpiącego z bronią pod poduszką, Giziński wcześniej został ostrzeżony i Niemcy go nie ujęli. Wcześniej po otrzymaniu wiadomości o aresztowaniu Wasilewskiego, zaraz udałem się do Soszyńskiego by go ostrzec, lecz nie zastałem go, poprosiłem jego matkę, że jak przyjdzie by mu powiedziała, żeby natychmiast przyszedł do mnie, tymczasem powrócił do domu pijany i nie zważał na mowę matki, tylko ułożył się do snu. Obudzili go Niemcy i na w półprzytomnego zabrali, zginął, nie wydał nikogo z organizacji. Giziński z drugim mieszkańcem Jabłony, Biernackim-pseudonim „Gołąb” poszli do oddziału partyzanckiego i w potyczce z żandarmerią, w której zginęło dwóch żandarmów, zostali ranni. Niemcy nie mogąc ująć Gizińskiego, spalili mu dom, zabrali pięć sztuk bydła i konia.

Po Soszyńskim jego objął funkcję mój kolega po fachu plutonowy Jakubowski o pseudonimie „Ziemia”. W celu uwolnienia aresztowanych Wasilewskiego i Soszyńskiego dokonano napadu na areszt w Sokołowie, który nie udał się. Podłożony materiał pod drzwi aresztu nie wybuchł, strzegący Niemcy zaczęli strzelać, zaalarmowali Wehrmacht i Szupo, zginął z naszej

obstawy Grądzki z Toczysk – Średnich.

Do majątku Mołomotki przyjeżdżał na karty Niemiec Werner ze starostwa, z drugim niby Polakiem rzekomo z poznańskiego, występującym się Niemcom. Nasza partyzantka porwała ich, a samochód porzuciła w lesie pod Toczyskami – Średnimi, samochód ten Niemcy znaleźli, zorganizowali obławę na wsie Toczyski, zabili z naszej organizacji Toczyskiego Franciszka i aresztowali trzynastu młodych mężczyzn. Potem poszli na ugodę, nasi zwolnili Wenera, a Niemcy tych trzynastu zatrzymanych. Występującego się Polaka nasi zabili.

W Jabłonnie na przełomie 1943-44 roku Eugeniusz Wilczek zorganizował kilkusobową grupę młodych mężczyzn pod nazwą „Miecz i Pług”, przeważnie nie cieszących się dobrą opinią. Trzech z tej grupy pod przewodnictwem Lizaka z Gródka dokonało napadu na zakład szewca Połęskiego w Czekanowie, wysiedleńca z poznańskiego. Zabrali mu skórę na obuwiu i pieniądze. Pokrzywdzony zgłosił to do naszego posterunku Policji Polskiej. Komendant posterunku wezwał Wilczka by załatwił sprawę we własnym zakresie. Wilczek przyrzekł to załatwić, i powiedział, że jego podkomendni wprowadzili go w błąd. Mówili mu, iż idą po broń, którą mają ukrytą za Bugiem, dlatego zaopatrzył ich w broń, ci jednak za Bug nie poszli, tylko dokonali napadu. Po kilku dniach część łupu zwrócili poszkodowanemu, resztę zdążyli roztrwonić. Połęski nie zadowolony z tego zameldował o napadzie żandarmerię niemiecką w Sokołowie, oskarżając między innymi i Wilczka. Gdy przybyła żandarmeria sprawcy wszyscy ulotnili się.

Żandarmi w Gródku spotkali dwóch młodych mężczyzn z Mińska Mazowieckiego i jednego z Boga, przybyłych za handlem. Przeprowadzili ich do Jabłonny, mieszkańcy Jabłonny, Dziak i młynarz Cichocki, postawili obiad żandarmom z prośbą o zwolnienie zatrzymanych. Lejtnant żandarmerii Berens z Kosowa przyrzekł, że zwolni, ale zwolnił tylko tego z Boga, za którego Cichocki zapłacił 500 zł jako grzywnę, a tych z Mińska miał zwolnić

w Sokołowie. W Czekanowie zamiast winnego Stanisława Domaniuka, żandarmi zatrzymali brata jego-Wacława, którego dołączyli do tych dwóch z Mińska Mazowieckiego, wywieźli do wsi Gałki i wszystkich trzech zabili niewinnie.

Razu pewnego byliśmy u sołtysa w Niecieczy. Usłyszeliśmy we wsi strzały, wyszliśmy z mieszkania i zobaczyliśmy młodego mężczyznę uciekającego z bronią w ręku, skręcił w bok w olszynę. Wróciłem do sołtysa i powiedziałem do domowników, by nie mówili Niemcom, iż widzieli uciekającego. Komendant posterunku Konieczny szedł dalej na wieś, a ja za nim. Wtem nadbiegło trzech gestapowców i pytało nas czy nie widzieliśmy uciekającego, odpowiedzieliśmy, że nie, więc zawrócili do zabudowań gumienych i przeszukali zabudowania, ale nic nie znaleźli. Pojechali w kierunku Jabłonny, a następnie do Gródka. Na drodze za cmentarzem spotkali jadącego rowerem piętnastoletniego chłopaka ze wsi Krzemień, wyskoczyli do niego z samochodu i zabili go, bez najmniejszego ku temu powodu.

W odległości od Kosowa siedem kilometrów była żwirownia i nieuprawiane pola. W 1940 roku Niemcy spędzili z okolicznych miejscowości Żydów - rzemieślników i rozpoczęli budowę obozu „zwanego Treblinką”. Żydów zamieszkałych po wsiach spędzili do miast i zamknęli w „getcie”. W następnych latach wywieźli do obozu w Treblince i wszystkich wymordowali.

Byłem na stacji w Sokołowie, w tym czasie przypędzili Żydów z getta w Węgrowie. Był jeden tylko jęk i płacz, czarna rozpacz. Jedna kobieta – Żydówka urodziła na placu przy wagonie dziecko, leżało na ziemi i kwiliło, a matkę wciągnięto do wagonu towarowego, zamknięto z innymi, do jednego wagonu. Niemcy i Ukraińcy wpędzali po sześćdziesiąt osób i w tak zatłoczonych wagonach trzymano zamkniętych 24 godziny, zanim pociąg ruszył w kierunku Treblinki, dziecko po pewnym czasie zmarło. Latem w Kosowie okien wieczorem otworzyć nie było można, bo czuć było swąd palonych ciał w Treblince i słyszeć było jęk i strzały w obozie.

Za żydowskim obozem był obóz polski, Niemcy zamykali do tego obozu chłopów za nieoddanie kontyngentu, handlarzy i różne drobniejsze przewinienia, prawie nikt z polskiego obozu też nie powrócił. Młodych i zdrowych mężczyzn Niemcy pędzili do roboty, a kobiety, dzieci, starców i kaleki prosto do komory gazowej, zabijano gazem i palono w piecach krematoryjnych. Młodych też długo nie trzymano, męczono ich pracą, chłodem i głodem, a następnie wycieńczonych zabijano.

Razu pewnego Żydzi przerwali druty kolczaste ogradzające obóz i kilkudziesięciu udało się zbiec. Tym polska ludność udzieliła pomocy i udało się doczekać wolności. Niemcy za ukrywającymi się Żydami, jeńcami sowieckimi i partyzantami polskimi urządzali obławy, przy tym nadsyłali różnych szpicli i prowokatorów. Na kolonię Paulinów i Dzierzby przyszło takich dwóch i podawało się, że zbiegli z obozu w Treblince. Poprosili o nocleg i pożywieni, a gdy je otrzymali po upływie kilku dni wracali z Niemcami, wybijali te polskie rodziny i palili zabudowania. Było i tak, że Niemcom donoszono fałszywe wiadomości o tym, że w większych lasach ukrywa się partyzantka, Żydzi i jeńcy sowieccy. Niemcy wówczas ściągali większe oddziały wojska i żandarmerii, przeczesywali lasy, ale nikogo nie ujęli, bo chociaż kto i był to wcześniej został ostrzeżony. Takich napuszczeń Niemców na wodę zdarzało się często.

Niemcy ze starostwa w Sokołowie wstawili dziesięć sztuk świń przy mleczarni w Jabłonie na wypas. Gdy były gotowe i wkrótce mieli je zabierać, nasza partyzantka wcześniej je zabrała po cichu, a my polscy policjanci do żandarmerii zgłosiliśmy, że świnię zabrała partyzantka sowiecka, składająca się z dwustu osób, która udała się w kierunku Bugu. Tak dużego oddziału Niemcy obawiali się ścigać. Na całym sokołowskim powiecie jednej nocy zniszczone zostały wszystkie drogowskazy, utrudniało to Niemcom poruszanie się po drogach. Czasami zdarzyło się, że Niemcy zamierzali jechać przez las, w którym ukrywali się partyzanci i zbiegowie. Wówczas mówiono im, że nie

dojadą, bo most jest zepsuty i napuszczono ich na drogę daleką, okrężną, a w tym czasie postarano się ostrzec partyzantów.

Od Sowietów zza Bugu nadchodziły niewesołe wiadomości. Polacy z obawy przed wywózką w głąb Rosji przedstawiali się na naszą stronę, mówili, że Sowietci masowo całe polskie rodziny wywożą w głąb Rosji, że w Katyniu zamordowali w 1940 roku 12000 Polaków, przeważnie oficerów, nauczycieli, księży i policjantów. Gdy odgłosy strzałów armatnich dochodziły w 1944 roku z jednej strony była radość, że zbliża się koniec okupacji niemieckiej, z drugiej strony obawa przed Sowietami. Niemcy przedtem szli z pieśnią, albo zwyciężymy na cały świat, albo przegramy na tysiąc lat, teraz pojedynczo lub grupami uciekali bez broni i pasów, a nawet zdarzało się boso. Na ich widok otucha w nas wstępowała, że zbliża się koniec wojny.

W sierpniu 1944 roku Sowietci wyzwolili całą naszą okolicę i posunęli się aż pod Warszawę. Nasza organizacja, Armia Krajowa została rozwiązana, niektórzy tylko członkowie pozostali dalej z obawy represji ze strony Sowietów. Broni nie złożyli. Ja również organizację opuściłem, ale Sowietom nie wierzyłem i usunąłem się z Jabłonny do braci zamieszkałych we wsi Ogrodniki odległej 23 kilometry. Dobrze zrobiłem, bo w tydzień potem N.K.W.D. sowieckie aresztowało czterdziestu mężczyzn podejrzanych o przynależność do Armii Krajowej zamieszkałych w Jabłonnie, jak również i w innych miejscowościach powiatu sokołowskiego, węgrowskiego, siedleckiego. Na całym obszarze, aż po Warszawę nastąpiły aresztowania i zesłania do obozów w Rosji, trzymano ich tam rok, dokuczył im tam głód, brud i zimno, kilku z nich zapadło na chorobę i zmarło. Między innymi mieli i mnie na liście do aresztowania. Mówił mi o tym Kondraciuk Adam z Jabłonny po powrocie z Rosji, że mnie wyczytywali, jak tylko ich zapędzili do obozu.

Zaczekałem do końca wojny w Ogrodnikach, a gdy władze polskie wezwały wszystkich do pracy, powróciłem do swego domu z rodziną w Kosowie i stałem do pracy w Cukrowni w Sokołowie. Przepracowałem

dwadzieścia lat i przeszedłem na emeryturę. Dnia 2 stycznia 1959 roku, dotknął mnie ciężki cios, bo zmarła nagle moja ukochana żona Irena, lat 46. Byłem dziewięć lat wdowcem, potem ożeniłem się, poraz drugi z wdową Czesławą Błaszczyk. To drugie małżeństwo uważam za wielką pomyłkę życiową. Charaktery nasze są niedobre, nieraz są niepotrzebnie targane nasze nerwy.

Na tym zakończę swoje wspomnienia, w następnym rozdziale chciałbym dać osąd wydarzeniom wojennym i historycznym.

*Henryk Jankowski*





Sokołów Podlaski rok 1975. Od lewej Ewa z Agnieszką na ręku (córką Jana Błaszczyka), Barbara Matyńska (córnka Ksawerego i siostra Zbigniewa), jej mąż Jerzy, Ksawery Jaroszuk, jego syn Zbigniew i córka Bożena oraz pasierb Jan Błaszczyk.

## MOJA SUBIEKTYWNA WIEDZA O LATACH 1914 – 1945

W roku bieżącym obchodzimy sześćdziesiątą rocznicę uzyskania niepodległości. Z przemówień telewizyjnych wynika, że dzięki Leninowi otrzymaliśmy niepodległość. Takie określenie uważam za nieprawdziwe.

Każdy Polak wie, że naród nasz przez długie lata walczył o swoją niepodległość. W czasie pierwszej wojny światowej powstało wiele organizacji wojskowych, jak Korpus Dowbora Mościckiego w Rosji i Legiony Piłsudskiego w zaborze austrijackim. Piłsudski walczył po stronie austrijacko - niemieckiej, z nadzieją, że Austrijacy i Niemcy przyznają Polsce niepodległość.

W 1915 roku Rosjanie zostali przepędzeni z terenów polskich. Niemcy i Austria podzieliły Polskę między siebie. Południową Polskę z miastem Lublinem do Austrii, a pozostałą do Niemiec i zażądali od Piłsudskiego złożenia przysięgi na wierność dla nich. Piłsudski odmówił im, więc osadzili go w twierdzy w Magdeburgu, a legiony jego w obozie w Szczypiornie.

W 1917 roku wybuchła rewolucja październikowa w Rosji, w czasie, której carat został obalony. Lenin uznawał niepodległość Polski, lecz granice jej nie były określone. W 1918 roku Niemcy we Francji pod Dunkierką ponieśli klęskę, wojnę przegrali. W Niemczech wybuchła rewolucja, Kajzer Wilhelm II został zmuszony do zrzeczenia się tronu, również usunięty został z tronu monarcha austriacki Franciszek Józef. Piłsudski powraca z Magdeburga. Zostaje mianowany marszałkiem i naczelnym wodzem sił zbrojnych Polski.

Ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki dyktuje traktat pokojowy. W czternastym punkcie wstawia niepodległość Polski z dostępem do morza, o co usilnie zabiegał Ignacy Padarewski cieszący się dużymi wpływami w Ameryce. Do wytyczenia granicy Polski ze strony Ligi Narodów wyznaczeni zostają Anglicy, na zachodzie lord Dżordż, na Wschodzie Kurson, który wytycza granice na Bugu, na to nie godzi się Piłsudski.

W 1919 roku rozpoczyna wojnę z Sowietami, zapędza się aż po Kijów. Pod naporem Sowietów wycofuje się pod Warszawę, gdzie w sierpniu 1920 roku odnosi zwycięstwo nad Sowietami, ustanawia granicę Polski. Na południowym wschodzie za Sarnami i Kownem na Wołyniu, na wschodzie za Pińskiem, a na północnym wschodzie za Wilnem. Na zachodzie ustanowiony zostaje korytarz z dostępem do Morza Bałtyckiego. Polski Gdańsk zostaje wolnym miastem. Na Górnym Śląsku wybucha powstanie i Górny Śląsk zostaje przyłączony do Polski.

W 1923 roku Piłsudski usuwa się od władzy i zamieszkuje w wili zakupionej ze składek oficerów w Sulejówku. Gdyby nie zwycięstwo Piłsudskiego nad Sowietami w 1920 roku śmiem powiedzieć, że blado by wyglądała nasza niepodległość, prawdopodobnie weszłaby w skład Republiki Radzieckich, a ostatecznie szumowiny dostałyby się do władzy, przeważnie żydostwo. Wymordowana by została inteligencja i duchowieństwo polskie, zburzone zabytki kultury i kościoły, tak jak to miało miejsce w Rosji, gdzie tramwaje nawet przewracano i palono, bo były carskie.

W latach 1923-1926 w Polsce zapanowało samowładztwo, co tydzień albo dwa następuje zmiana rządu. Żaden rząd nie jest trwały. Piłsudski obserwuje to i nareszcie w 1926 roku dokonuje zamachu stanu. Sam zostaje ministrem spraw wojskowych. Umiera w 1935 roku, po nim marszałkiem mianowany zostaje Rydz-Śmigły, który również zostaje naczelnym wodzem.

W latach 1930-1936 świat przeżywa duży kryzys, Polska dotkliwie to odczuwa, jest duże bezrobocie. W Niemczech Hitler dochodzi do władzy, łączy Austrię z Rzeszą Niemiecką. Potem zagarnia za zgodą Anglii i Francji, Czechosłowację. W 1938 roku Hitler żąda włączenia do Rzeszy korytarza polskiego. Chce w ten sposób odepchnąć Polskę od morza, na co się Polska nie zgadza. Potęga militarna Niemiec rozbudowana do najwyższego szczytu, Niemcy grożą wojną.

Polska zawiera układ wojskowy z Anglią i Francją, przedstawiciele Francji i Anglii jadą do Rosji paktować o włączenie się do sojuszu wojskowego, lecz nie uzyskują zgody, rzekomo dlatego, że polski rząd nie godził się na wkroczenie wojsk sowieckich na tereny polskie. Obawiano się, że po wkroczeniu mogą nie ustąpić jak również, dlatego, żeby Niemcom nie dać powodu, iż Polska jest komunistyczna a Niemcy walczą z komunizmem.

Po wyjeździe Anglików i Francuzów z Rosji udał się do Rosji niemiecki minister spraw zagranicznych, Ribentrop. Zawiera porozumienie z ministrem spraw zagranicznych Sowieców – Mołotowem, na mocy, którego Rosja zabiera Polskę po Bug. Ribentrop powraca z Rosji i na drugi dzień Niemcy napadają na Polskę. Mołotow miał się wyrazić o Polsce, że najwyższy czas by przestał istnieć ten sztuczny twór.

Zaczęła się druga wojna światowa. Następuje IV rozbiór Polski w dniu 01.09.1939 roku. Niemcy całą potęgą uderzają na Polskę. Francja i Anglia wypowiadają Niemcom wojnę, ale żadnej bitwy nie podejmują. Polska armia pod naporem niemieckim cofa się. Marszałek Rydz-Śmigły i minister spraw zagranicznych Bek wyjeżdżają do Rumuni, skąd u rządów Francji i Anglii zabiegają o rozpoczęcie działań wojennych, lecz Anglia i Francja stoją w miejscu, żadnych działań wojennych nie podejmują, bo nie są do wojny przygotowane.

17.09.1939 roku Sowieci uderzają na Polskę ze wschodu z zamiarem zajęcia terenów po Wisłę. Potem stosownie do uprzedniego porozumienia z Niemcami cofają się za Bug. Pod przemocą dwóch tych potęg, Polska do Bugu dostaje się pod okupację niemiecką, a wschodnią część Polski okopuje Rosja. Niemcy na Polakach w czasie okupacji dopuszczają się wyrafinowanych zbrodni. Miliony ludzi w tym masa dzieci i kobiet zostało wymordowanych w różnych obozach w komorach gazowych.

Sowieci też nie anioły. Całe rodziny polskie wywozili w głąb Rosji, gdzie je rozdzielano, męża osadzono w innej miejscowości, a żonę i dzieci znowu w

innych odległych miejscowościach tak, że między sobą nie mogli się kontaktować. Poza tym Sowieci utworzyli obóz w Katyniu gdzie osadzili oficerów wojska polskiego, podoficerów zawodowych, księży, nauczycieli i policjantów, oraz dwóch polskich generałów. Wszystkich wymordowali, w Katyniu zginęło 12 000 Polaków. Za co ci Polacy tam zginęli? Przecież wojny Polacy z Sowietami nie prowadzili, a więc dlatego, że Sowieci dla Polaków byli wrogami. Słusznie polskie władze postąpiły przed wybuchem wojny, że nie godzili się na przemarsz wojsk sowieckich przez Polskę.

Wojna trwa na dal, Polacy rozproszeni, różnymi drogami dostają się na Zachód. W następnym roku Niemcy zajmują Norwegię, Danię i Belgię po krótkim oporze pada Francja. Polacy w bitwach na wszystkich frontach biorą udział. W Norwegii pod Narwikiem, we Francji, w Afryce pod Tobrukiem. Lotnicy polscy wnieśli duży wkład w bitwach powietrznych o Anglię. Gdy Alianci wyparli Niemców z Afryki, polski korpus pod dowództwem generała Andersa duży wkład wnosi do bitwy we Włoszech pod Monte - Casino.

Przedtem jeszcze w dniu 22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzają na Rosję. Zadają Rosjanom duże straty, zapędzają się pod Moskwę, okrążają Leningrad, następnie kierują ofensywę na południe Rosji. Anglicy i Amerykanie udzielają Rosjanom pomocy materialnej, dostarczają sprzęt bojowy jak armaty, czołgi, amunicję i samoloty, a również środki żywności, odzież i obuwie. Alianci zachodni ustawicznymi nalotami bombardują Niemcy i niszczone im różne obiekty i zakłady zbrojeniowe. Niemcy docierają nad Wołgę do Stalingradu, tu nareszcie w sześciomiesięcznym boju zostają przez Rosjan pobici, ginie ich trzydziestotysięczna armia wyborowa z marszałkiem Paulusem na czele, rozpoczął się odwrót Niemiec z Rosji.

W Rosji zostaje sformowana pierwsza armia polska, z której pierwsza Dywizja Kościuszkowska stacza pierwszy bój z przeciwnikiem niemieckim pod Lenino, zradza się przyjaźń polsko-radziecka. Alianci na zachodzie lądują w Normandii, zostaje utworzony front zachodni. Wyzwolona zostaje Francja,

Belgia, oraz inne państwa zachodnie. Walny w tym udział bierze wojsko polskie pod dowództwem generała Maczka i innych generałów. Na wschodzie Sowieci staczają ciężkie bitwy, ale zawsze zwycięskie z Niemcami i w sierpniu 1944 roku wyzwalają tereny polskie, aż pod Warszawę. W Mordach i Siedlcach organizuje się druga armia polska. W Warszawie dnia 1 sierpnia wybucha powstanie, które po sześciu tygodniach, nie mające z zewnątrz pomocy upada. Niemcy niszczą prawie doszczętnie Warszawę, masa ludzi wybijając na miejscu, resztę wywożąc na roboty i do obozów w Niemczech.

W styczniu 1945 roku Sowieci ruszają ofensywę na wszystkich frontach, wyzwalają Warszawę, staczają ciężkie boje na Wale Pomorskim, Kołobrzegu, przy forsowaniu Odry i Nysy, oraz szereg innych miejscowości, ale zawsze zwycięskie. W tych wszystkich bojach obok Sowieców bierze udział pierwsza i druga armia Wojska Polskiego. Ostatni bój przez kilka dni toczy się w Berlinie, gdzie ostatecznie Niemcy kapitulują i nastaje koniec wojny. Zrodzona przyjaźń między narodami, żeby wiecznie trwała, żeby zapanowała zgoda i miłość między wszystkimi narodami na świecie, by nasze przyszłe młode pokolenia nie doznały cierpień i ciężkich skutków wojny.

Kosów, 9. 5. 78 rok

## WYJĄTKI NIEKTÓRYCH WSPOMNIENIŃ W ASPEKTCIE ZAGADNIENIŃ SPOŁECZNYCH

W tej części „WSPOMNIENIŃ” zawarte są zagadnienia dotyczące ochrony zdrowia, warunków pracy i prawa karnego.

### 1. Ochrona zdrowia:

W styczniu 1923 r. w 53-cim roku życia umiera nam matka. Spada na naszą rodzinę wielkie nieszczęście. Przyczyną zgonu były bóle brzucha, matka męczyła się cały tydzień, nie wzywano żadnej pomocy lekarskiej.

W tym czasie lekarze i szpitale dla ludności wiejskiej były niedostępne, nadzwyczaj drogie, lekarzy było bardzo mało, we wsiach żyli różni znachorzy.

Do sławnych znachorów zaliczał się Marcinek mieszkający w Hołubli, oddalonej od nas trzy km. Kiedyś zachorowała nasza młodsza siostra na oczy (jaglicę). Ojciec udał się z siostrą do tego znachora. Ten poradził, żeby sadzę z komina zmieszać ze spirytusem i tym oczy smarować. To tak jakby do ognia dodać benzyny. Brat Włodek na to nie zezwolił, udał się z siostrą do okulisty do Warszawy i tam została wyleczona.

Mój kuzyn Hołubiec z Wyczółek mocno stłukł sobie kolano. Udał się do znachora Marcinka. Ten kazał mu ściąć w lesie brzozę grubości wiadra, urządzić metrowy pień, postawić go na dwa tygodnie na środku mieszkania i tym się wyleczy. Kuzyn tak też zrobił. Przeszło dwa tygodnie, a noga nadal bolała. Udał się powtórnie do tego znachora. Ten mu powiedział, że pień był za cienki i dlatego nie pomógł. Marcinek kazał mu ściąć grubszą brzożkę, odciąć metrowy pień i postawić na środku mieszkania to ból nogi przejdzie. Kuzyn wszystkie zalecenia wykonał i rzeczywiście ból z nogi ustąpił. Naiwniak w święcie to uwierzył, a to nie pomógł pień tylko czas.

Innemu pacjentowi, któremu uformował się wrzód w gardle, znachor zalecił dobrze rano zerwać list kapusty z rosą i przyłożyć chrzanu na goły tyłek. Kiedy tak zrobiono chorego ogarnął śmiech, zaczął się krztusić i wrzód pękł, pacjentowi ulżyło, a domownicy uwierzyli, że pomógł liść.

W pobliskich wsiach znachor i wróż Marcinek powodzenia nie miał. Kiedyś zebrali się miejscowi łobuzacy i mówią: „Jak komuś coś zginie to leci do Marcinka, żeby to odnalazł. Zobaczmy czy on swoją rzecz odnajdzie”. Wzięli żelazną brzożkę znachora i nie daleko od jego zabudowań utopili ją w sadzawce. Nie odnalazł jej. Później sami sprawcy ją wyciągnęli.

Nam w domu matkę zastępowała pierwsza, starsza siostra, chora na nogę. Każdy z nas jak tylko mógł tak jej pomagał, od żadnej pracy w domu nikt się nie odwracał (nie migał). W rodzinie naszej panowała zgoda i braterska miłość.

1 października 1925 roku z poboru poszedłem do wojska z przydziałem do 22 Pułku Piechoty w Siedlcach. Przeszkolenie rekruckie przechodziłem w

pierwszej kompanii strzeleckiej, a po miesiącu zostałem odkomenderowany do szkoły podoficerskiej.

## 2. Praca:

Po odbyciu służby wojskowej zaraz wstąpiłem do Policji Państwowej z Komendy Wojewódzkiej w Lublinie dostałem przydział do Komendy Powiatowej w Sokołowie Podlaskim, a stąd na posterunek w Kosowie Lackim.

Praca w policji była ciężka. Brak było środków lokomocji. Rejon posterunku obejmował trzy gminy: Kosów, Chruszczewkę i Olszew był podzielony na obwody.

Pierwszy obwód: z Kosowa do Telak (5 km), z Telak do Dybowa (4 km), z Dybowa do Sągół (2 km), z Sągół do Kurczów (2 km), z Kurczów do Skibniewa (1 km), ze Skibniewa do Kostek (1 km). Wioski duże, porozrzucane po koloniach, aby je wszystkie obejść i powrócić trzeba było przejść około 30 km. Trzeba było załatwić różne sprawy dochodzeniowe, nie raz przesłuchać po kilkunastu świadków i podejrzanych.

Drugi obchód: z Kosowa do Trzcianca Małego (1 km), z Trzcianca Małego do Trzcianca Dużego (2 km), z Trzcianca Dużego do Wyszomierza (4 km), z Wyszomierza do Kutysk (2 km), z Kutysk do Grzymał (2 km), z Grzymał do Pogorzeli (2 km), z Pogorzeli do Wrzosek (2 km), z Wrzosek do Chruszczewki (7 km), z Chruszczewki do Kosowa (7 km). Całość drogi to 29 km.

Trzeci obchód: z Kosowa do Żoch (4 km), z Żoch do Gliny (4 km), z Gliny do Lipiek (3 km), z Lipiek Starych do Nowych (2 km), z Lipiek Nowych do Maliszewy Starej (6 km), z Maliszewy Starej do Maliszewy Nowej (1 km), z Maliszewy Nowej do Dębego (3 km), z Dębego do Kosowa (4 km). Razem do pokonania było 27 km.

Czwarty obchód obejmował: z Kosowa do Albinowa (2 km), z Albinowa do Wólki Okraglik (4 km), z Wólki Okraglik do Wólki Dolnej (1 km), z Wólki Dolnej do Majdanku (4 km), z Majdanku do Kwesti (1 km), z Kwesti do Gutów (1 km), z Gut do Kosowa (4 km). Razem około 17 km.

Piąty obchód to: z Kosowa do Tosi (3 km), z Tosi do Garnku (4 km), z Garnku do Rytel Olechnów (3 km), z Rytel Olechnów do Rybaków (2 km), z Rybaków do Rytel Suchych (2 km), z Rytel Suchych do Rytel Wszółków (2 km), z Rytel Wszółków do Rytel Święckich (1 km), z Rytel Święckich do Boreczku (1 km), z Boreczku do Kosowa (4 km). Łącznie 28 km.

Szósty obchód: z Kosowa do Henrysina (3 km), z Henrysina do Zawad (3 km), z Zawad do Nowej Wsi (2 km), z Nowej Wsi do Łomnej (2 km), z Łomnej do Kosowa (5 km). Ogółem 15 km.

Na posterunku w Kosowie było pięciu policjantów. Cała dobę obowiązywały dyżury. Dyżurny jednocześnie patrolował w nocy i trzy razy wychodził na stację do przejeżdżających pociągów.



W każdy wtorek i piątek odbywały się w Kosowie duże targi. Kwitło duże chuligaństwo. Na terenie rejonu prawie w każdym tygodniu notowano zabójstwo, drobne kradzieże zgłaszano każdego dnia.

Poza służbą musiałem się dużo uczyć. Przede wszystkim przepisów kodeksu karnego i postępowania służby śledczej, przepisów administracyjnych i skarbowych, prawa o użyciu broni.

### 3. Prawo karne:

Kary za przestępstwa były małe. Za zabójstwa wyroki oferowano do trzech lat, za chuligaństwo najczęściej sięgały jednego tygodnia aresztu gminnego, za nielegalne posiadanie broni przez kłusownika – recydywistę kara wynosiła trzy miesiące aresztu.

W czasie mego pobytu w Kosowie były groźne przestępstwa. Jeden z nich to napad na kasjera .

Polną ścieżką z Gutów do Wólki szedł z wypłatą dla rolników dostarczających mleko do mleczarni Borkowski, rolnik pełniący funkcję kasjera. Został napadnięty, zabity strzałem z pistoletu i obrabowany. Zwłoki odnaleziono dopiero następnego dnia rano. Gdy przybyliśmy na miejsce zastaliśmy tłum ludzi skupiony wokół zwłok. Wszelkie ślady zostały zatarte. Po czterech latach dochodzenia zostali ujęci i skazani na po dwanaście lat więzienia dwaj młodzi ludzie z Wólki Okrąglik, Wujek i Goś.

Żebraczki Piwkowa i Egiertowa mieszkały pod wsią Tosie, w domu wyznaczonym przez gminę. Piwkowa miała 46 lat, a Egiertowa 62 lata. Młodszą Piwkową często odwiedzał przejeżdżający żebrak. Zazdrościła tego Piwkowej Egiertowa i postanowiła się na niej zemścić. Pewnego razu wyszły za żebranie do Kosowa. Przeważnie obchodziły masarnię, a było ich siedem oraz innych zamożniejszych mieszkańców Kosowa. Nazbierały skrawów wędlin, smalcu i pieniędzy. Egiertowa kupiła ¼ litra spirytusu i ½ litra nafty oraz zapalki. Wracające do domu skręciły na groble byłych stawów rybackich. Tu usiadły i Egiertowa poczęstowała Piwkową spirytusem. Ta była chciwa na wódkę, więc tę ćwiartkę spirytusu sama wypiała i spiła się do nieprzytomności. Wówczas Egiertowa wylała na Piwkową ½ litra nafty, zabrała jej chustkę i garnek z nazbieranym tłuszczem, podpaliła i odeszła. Na drugi dzień człowiek idący z Kosowa na ryby napotkał dogorywającą Piwkową. Dał znać na policję. Wezwany lekarz udzielił pierwszej pomocy i skierował do szpitala w Klimowiznie. Piwkowa na krótko odzyskała przytomność i opowiedziała o całym zajściu i zmarła. Egiertowa otrzymała 10 lat więzienia, w którym zakończyła życie.

Największej zbrodni dopuścił się Lucjan Sierputowski z Grzymał. Z nielegalnie posiadanej broni zabił swoją matkę, sąsiadkę Pietrzykowską, ciężko ranił sąsiada Pietrzykowskiego, który pozostał kaleką do końca życia, następnie zabił w Chruszczewce swoją teściową Knapaczową i zranił teścia Knapacza. Tych wyczynów dokonał w ciągu jednego dnia. Ukrywał się.

Mnie i kolegę Górzyńskiego z Sokołowa wyznaczono do ujęcia mordercy. Przez dwanaście nocy czatowaliśmy na niego, ale nie udało się go ująć. Sierputowski obawiał się zetknięcia z policją i czuł, że kiedyś musi być ujęty, lub zabity w potyczce z policją. Bandyta we wsi Wrzoski okradł pewnego Amerykanina. Udał się do Warszawy do słynnego adwokata Homofochła Ostrowskiego. Położył przed nim kilkadziesiąt dolarów skradzionych Amerykaninowi i poprosił o obronę. Adwokat podjął się obrony, zaprowadził winowajcę do warszawskiego prokuratora, a ten bandytę zatrzymał i przekazał go nam policji w Sokołowie Podlaskim, ponieważ tu było prowadzone dochodzenie.

Sąd Okręgowy w Siedlcach skazał Sierputowskiego na karę śmierci. obrońca skazanego apelował i Sąd Apelacyjny w Warszawie zamienił karę śmierci na dwanaście lat więzienia.

Było jeszcze wiele zabójstw w rejonie popełnianych w czasie zabaw, odpustów, wesel i porachunków osobistych. Nie sposób wszystkich opisać.

Godziny pracy w policji były nieograniczone. Nie było płatnych godzin nadliczbowych. Zdarzało się nie raz, że przez szereg dni było się w domu tylko gościem.

#### **4. Jabłonna Lacka w 1938 roku.**

Jabłonna Lacka jest wioską. Ma ładne położenie. Przy rynku stoi kilkusetletni zabytkowy kościół w formie pałacowej. Proboszczem był ksiądz Aleksander Fijałkowski, działacz społeczny. Pod jego kierownictwem została pobudowana mleczarnia spółdzielcza, piekarnia i sklep spółdzielczy „Pszczółka”.

W Jabłonie jest szkoła podstawowa, urząd gminy, apteka. Ponadto jest prywatny młyn motorowy, sklep polski prywatny z materiałami ubraniowymi, sklep żydowski z mięsem wołowym otwierany raz w tygodniu.

Są również czynne dwie kuźnie kowalskie, jest czterech szewców (dwóch Polaków i dwóch Żydów). Są krawcy zarówno w Jabłonie jak i okolicznych wioskach. Są tam również sklepy przeważnie spółdzielcze.

Był okres w którym do Jabłony przyjeżdżali Żydzi z Sokołowa, rozstawiali na rynku stragany i handlowali. Kiedy ks. Fijałkowski rozwinął handel, kupcy z Sokołowa nie mieli po co przyjeżdżać do Jabłony ze swymi towarami. Miejscowa i okoliczna ludność przestała kupować u Żydów.

Jesienią 1938 roku wieczorem powstał w Jabłonie pożar, jednocześnie w zabudowaniach gumienych właściciela sklepu z materiałami ubraniowymi i zabudowaniach parafialnych ks. Fijałkowskiego. Krążyły pogłoski, że podpalenia dokonali Żydzi, jako akt zemsty za wyrugowanie ich z handlu w Jabłonie.